Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmnje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V — *Niedziela, dnia 31 października 1937 r.* — Nr. 44

W dzień zaduszny



Białe wieńce cmentarnych przeznaczeń,
otulone w krepową czerń...
w zżółkłych liściach tęsknota się plącze
w zaduszny dzień —

Zapalmy woskowe świece
na mogiłach ukrytych wśród brzóz...
w nasze serca zwątpieniem jesiennym
smutek dziś wrósł...

Twarze nasze zastygłe z bólu,
zapatrzone w pochylony krzyż —
płacz stłumiony maleńkich mogił
nad duszą zwisł —

Wiatr odmawia cmentarne modlitwy
i kołysze ramionami drzew — —
pacierz — w łzy się zamienia drobne...
w żałobny śpiew —

Alejami błądzą nikłe cienie
wśród jesiennych, ślizgich, krętych dróg —
cisza chłodna sączy się w zmierzchu
z cmentarnych trwóg...

Zmówmy wspólnie „wieczny odpoczynek"
zanim skona cmentarny dzień...
zanim smutek białe kwiaty otuli
w krepową czerń...

Pozostanie za nami pustka —
zapach kwiatów i żałobna czerń...
i wspomnienie które zmartwychstało
w zaduszny dzień...

Józef Baranowski

MARIA REUTT

11)

Ktoś ty?

Powieść o burzach życia

— Przyjdę... na pewno przyjdę — obiecywała Tuśka, zamykając za nimi furtkę.

Gdy wróciła do matki, rozradowana, ożywiona, zdziwiła się bladością matki.

— Mamuśku, a może ty się gniewasz, że obiecałam Mani i Józi, iż je odwiedzę? — niepokój odmalował się w oczach dziewczynki, w głosie dźwięczał żal.

— Pójdziesz dziecko do nich w niedolę, a może kiedyś i ja się tam z tobą wybiorę.

— Matuś, matuchno najdroższa — ściskała dziewczynka matkę w radosnej podzięce — jesteś najlepsza i najukochańsza ze wszystkich na świecie.

Danka z nastaniem jesieni, w miarę jak oziębiało się powietrze i pobyt na dworze tracił swój urok, wszystkie swobodne popołudnia spędzała w Ustroniu.

Dobrze jej było w Ciemierzewie: dziewczynki miłe i grzeczne otaczały ją przywiązaniem, państwo Ciemierzewscy odnosili się do niej życzliwie i przyjaźnie. A jednak ciągle czuła się wobec nich skrępowana i onieśmielona. Byli to jej „chlebodawcy" i to ją odgradzało od nich.

W Ustroniu zaś niejako odprężały się jej nerwy, odpoczywał mózg. Nie potrzebowała uważać na każdy swój ruch, odezwanie się, zachowanie.

Zmierzch już zapadł, gdy znajomą ścieżką wśród pól dochodziła do dworku.

Nie zginął w zieleni, nie czarował już powodzią kwiatów. Biały, mały, stał jak uboga sierotka na tle ogołoconych z liści drzew.

Przez małe okienka sączyło się światło i srebrzystą smugą kładło na piaskiem wysypaną ścieżkę.

— Ktoś tu jest obcy — pomyślała z żalem, otwierając drzwi.

— Ach, to pani! — ucieszyła się pani Bogdzińska, na stuk drzwi wyjrzawszy do sionki.

— Jak to dobrze, że pani przyszła. Jest u mnie panna Boraniówna, nauczycielka z Ciemierzewa i jej koleżanka z Kątów, obydwie bardzo miłe.

W malutkim saloniku zrobiło się ciasno, ale wesoło. Obydwie nauczycielki były młode i przystojne, pełne życia, pomimo ciężkiej pracy, jaką jest chleb nauczycielski.

— Widuję panią prawie każdej niedzieli w kościele — odezwała się panna Boraniówna do Danki, gdy je zapoznano ze sobą.

— Niestety, nie mogę się odwdzięczyć podobnym, bo nie zauważyłam pani ani razu — odpowiedziała Danka.

— Naturalnie, ja siedzę daleko, na środku kościoła, wśród szarego tłumu, a pani przy samym ołtarzu w kolatorskiej ławce — jakaś nuta zazdrości w głosie dziewczyny zadźwięczała, która przykro dotknęła Dankę.

— Nie moja wina ani zasługa, że siedzę tam, bo stanowisko zajmuję takie same, a może i gorsze. Pani, po latach służby będzie miała zapewnioną starość, gdy tymczasem mnie czeka przytułek, o ile nie zaoszczędzę z pensji na czarną godzinę — odparła trochę ostro.

— Pani taka ładna, że wyjdzie napewno za mąż niedługo i nie będzie potrzebowała aż żebrać — wtrąciła jej towarzyszka, patrząc z niekłamanym upodobaniem na zgrabną postać Danki.

Smutny uśmiech przewinął się po koralowych ustach dziewczęcia.

Potrząsnęła głową.

— O zamążpójściu nie myślę, nie nęci mnie ono zupełnie.

Oczy panny Boraniówny zamigotały domyślnymi ognikami.

Odruchowo otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale widocznie zmieniła zamiar, bo żadne słowo nie wyszło jej z gardła.

Pani Bogdzińska z taktem osoby nawykłej do dobrego towarzystwa, zmieniła temat rozmowy, objaśniając Dankę, że panna Boraniówna przygotowuje Tuśkę do drugiej klasy pensji pani Walickiej, a panna Kaźmierkówna była tak miła, że pomogła jej w urządzeniu ogródka, bo skończyła kursa ogrodnicze.

Odprowadziły ją obydwie panny do samego dworu. Pożegnały się przy bramie.

— Niech pani kiedy zajdzie do mnie — prosiła panna Boraniówna, ściskając gorąco jej rękę na pożegnanie.

— Ależ owszem, z przyjemnością — obiecywała, przyrzekając sobie odwiedzić ją jeszcze w ciągu tygodnia.



Król szwedzki Gustaw poluje.

ZATRUTE ZIARNA

We dworze świeciło się we wszystkich oknach od frontu, przed gazonem stał samochód.

...Jest pan Andrzej.

Przesuwała się cicho brzegiem alei w nadziei przedostania się niepostrzeżenie do siebie. Nie miała ochoty spotkać się z nim. Widok jego wywoływał w niej niepokój, poruszał pragnienia, które chciała zdusić w sobie.

Była już blisko domu, gdy światło buchnęło falą na gazon i zabrzmiały głosy pana domu i Andrzeja. Wsunęła się w krzaki, tworzące żywopłot, wcisnęła się w zieleń, by nie być widzianą.

Dochodził ją jego dźwięczny głos, lekkie, pewne kroki na żwirze, potem warkot samochodu.

Ostatnie, rzucone już podczas „jazdy „dowidzenia" i był już daleko za bramą.

Uprzytomniła sobie tylko jego zręczną postać, opiętą w szary samochodowy płaszcz, siedzącą przy kierownicy, te oczy niepokojące, łagodne, a badawcze, i serce jej zabiło aż do bólu.

Zagryzła wargi i zacisnęła dłonie na skroniach.

...Nie chcę, mnie nie wolno — broniła się przed samą sobą.

— — — — — — — —

Przyjechała nowa bona do dziewczynek, Fräulein Rosa Pollak, młoda, hoża Niemka z czeskich Karlowych Warów.

Dziewczynki na razie zajęły się nią. Bawiła ich nowością, więc każdą

ną chwilę z przyjemnością spędzały w jej towarzystwie.

Mając dużo wolnego czasu, Danka wybrała się do nauczycielki.

Przyszła nad wieczorem, gdy w chatach gdzieniegdzie dopiero migały nikłe światełka naftowych lampek. Szkoła znajdowała się pośrodku wsi i zajmowała drewniany, nieduży dworek w ogrodzie.

Panna Boraniówna niedawno rozpuściła dziatwę i siedziała właśnie przy skromnej kolacji, złożonej z chleba, masła, sera i mleka.

Przed nią leżała broszurka, którą przeglądała z zajęciem.

— Co pani czyta? — zainteresowała się Danka, wskazując na broszurę.

— Dostałam ją do przejrzenia od znajomego. Jest to rozprawa prawdziwie pojętej demokracji.

Danka wzięła książkę do ręki i przerzuciła parę kartek. Bezimienne wydanie bez wskazania autora, firmy, miejsca i czasu wydania.

Napuszone zdania, górnolotne wyrazy, puste, bez dźwięku; zwykła komunistyczna „bibuła".

Odłożyła książkę z niesmakiem.

— Nie warto tego czytać, proszę pani. Zwykłe, obłudne, podjudzające komunały, które nie wytrzymują krytyki, jaką przynosi im życie.

— Ale kiedy, proszę pani, w tym jest dużo prawdy — broniła książki panna Boraniówna. — Człowiek rodzi się jednakowo, jednakowo musi umierać, jednakowe ma funkcje i potrzeby fizjologiczne, — a tymczasem jeden wynosi się nad drugiego, wyobraża sobie, że jest czymś lepszym...

Danka uśmiechnęła się pobłażliwie.

— A pani, czy nie uważa siebie za coś lepszego choćby od tych gospodarzy, których dzieci pani uczy, — czy nie patrzy pani z góry na lokaja, pokojówkę, kucharkę?...

— No, bo też jest wielka różnica między nami — oburzyła się.

Danka roześmiała się, ubawiona tym oburzeniem.

— Według teorii tej książki — żadna...

— Moja teoria rozróżnia pewne stopniowanie i różniczkowanie, tylko, że nie według urodzenia, ale intellektu...

— Proszę pani — przerwała jej Danka — we wszystkich krajach na świecie jednostki o nieprzeciętnej inteligencji i zdolnościach zawsze się wybijają i dochodzą do czegoś. Niech pani tylko przestudiuje życiorysy sławnych ludzi przeszłości i doby obecnej, polityków, mężów stanu, wielkich uczonych i artystów — to przekona się pani, że połowa z nich to dzieci ludu, które same sobie torowały drogę w życiu, nieraz nawet bez szkół. Ale na ogół nie można spodziewać się od polnej gruszy, by wydała gatunkowe owoce, bery lub złote renety, tak samo jak niemożliwym jest jednym zamachem pióra odebranie inteligencji, na którą składały się szeregi pokoleń. Przez te dwa lata, spędzone przymusowo w Bolszewii, miałam możność osobiście przypatrzeć się jak ta ich papierowa wolność wyglądała. Komisarze, niedawni pisarze gminni, drobni urzędnicy, podoficerowie, subiekci, kelnerzy — stając się komisarzami właśnie za głoszenie wolności ludu, równości, zniesienia stanów, sami zajmowali pałace i otaczali się zbytkiem, przepychem. Dyplomatyczne samochody polityków zagranicznych sowieckich, ich jazdy, salonki kochanek, uczty, które wydawali jest dostatecznie wymowne co do tego, jaka jest teoria, a jaka praktyka życiowa komunistów, gdy przyjdą do władzy.

— Byłam sama świadkiem, jak raz woźny z pośpiechu odezwał się do naczelnika oddziału: „towarzyszu" zamiast „towarzyszu-komisarzu". Trzeba było widzieć minę tego komisarza i słyszeć jak fuknął na niego, dławiąc się wprost wściekłością: „co ja tobie za towarzysz! Jak śmiesz odzywać się do mnie w podobny sposób! Durniu jeden"... „Znalazł sobie towarzysza! Ja cię nauczę jak się do władzy masz odzywać!".

A wszystko dlatego, że pokorny potulny stróż zbytnio zaufał słowom i hasłom komunistycznym. I takich przykładów, których byłam naocznym świadkiem, dałabym pani dużo, — a będzie pani miała dowód, że teoria teorią, a praktyka praktyką, życie i natura ludzka to inna, mocniejsza potęga, która śmieje się i szydzi z haseł najbardziej wzniosłych.

— Ale pani sama przyzna, że dużo jest na świecie niesprawiedliwości i krzywd — broniła się panna Boranówna.

— Nie wyrównuje się ich jednak krzywdą i cierpieniem drugich. W Rosji wymordowali kilkaset tysięcy inteligencji i arystokracji, rozgromili pałace i zamki — i czy pani myśli, że tym sposobem dali każdej babie puchową pierzynę i suknię jedwabną a każdemu robotnikowi parę koni wyjazdowych i kurę na obiad codziennie a na zimę futro? Jeżeli pani to przypuszcza, to myli się pani grubo. Napatrzyłam się tam na tak okropną nędzę, od Saratowa do Mińska, właśnie tych mas wydziedziczonych, dla których nibyto zwalono w gruzy Rosję przedwojenną, śpichlerz Europy... Teraz po przyjeździe do Polski los naszego proletariatu wydał mi się rajem.

Danka widziała jednak, że nie przekonała panny Boraniówny, że słowa, które mówiła, odbijały się o duszę nauczycieki, jak groch od ściany, więc zaniechała dalszych argumentów.

Wizyta nie zrobiła jej żadnej przyjemności, choć dziewczyna siliła się na gościnność i uprzejmość.

Wróciła do domu w przygnębionym nastroju. Czuła dokoła siebie jakby jakieś nieuchwytne pajęczyny, zdradliwe i trujące.

Przez kilka dni nie mogła się otrząsnąć się z tego nastroju i czuła się źle. Martwiła ją ta propaganda przewrotowa, która wciskała się wszędzie, bała się o Polskę. Lecz wierzyła, że komunizm w Polsce nie przyjmie się, że pożoga nie ogarnie kraju. To też nie chciała o swej trosce wspominać państwu Ciemierzewskim, ażeby nie zaszkodzić nauczycielce, nie pozbawić jej chleba — bo może te zasady to tylko chęć pozowania, nastrój przejściowy młodej, wrażliwej duszy.

* * *

W saloniku pani Bogdzińskiej pan Staniszewski, sekretarz hrabiego, pokazywał dwie ulotki komunistyczne: jedna przeznaczona dla propagandy na wsi, druga dla robotników miejskich — które znalazł w zamkniętej tece pocztowej, wciśniętej między listy.

Na czerwonym papierze, o odcieniu krwi, drobne literki, drukowane nawoływały do porzucenia pracy, palenia dworów, wycinania lasów, „bo to wszystko wasze, powstałe z waszej pracy, potu i nędzy".

— Co z tym robić? — pytał bezradnie sekretarz.

— Zniszczyć — zadecydowała Danka — a jednocześnie powiadomić policję.

— Hrabia już to zrobił.

— No to niech pan te świstki zniszczy i zapomni o nich. Policja nasza wcześniej czy później, da sobie radę z podżegaczami, a może jest już na ich tropie...

Staniszewski niedbałym ruchem zmiął trzymane kartki, ale ich nie zniszczył, trzymał je w dłoni, jakby się namyślał, co z tym robić.

Weszła służąca z owocami. Gdy przechodziła koło niego, rzucił zmiętą kulkę na tacę.



Rozpoczyna się już sezon sportów zimowych

Danka spokojnym, niedbałym ruchem wzięła rzuconą kulkę, podarła ją w kawałki drobniutkie i wtedy dopiero wysypała je na tacę z powrotem.

Sekretarz patrzył na nią w milczenu, jakby zaskoczony.

— Służba jest zazwyczaj bardzo ciekawa, wścibska, lubi czytać to co nie jest dla niej przeznaczone — zauważyła z uśmiechem Danka.

* * *

Zima zbliżała się wielkimi krokami.

Dnie coraz krótsze, chłodniejsze, szare, często dżdżyste, zmuszały do siedzenia w domu.

Skończyły się długie spacery i wysiadywania na dworze. Dziewczynki nudziły się, straciły humor, chodziły w wolnych chwilach smętnie z kąta w kąt. Nudziła się i Danka.

Zaczęły nadchodzić na nią czarne myśli, odzywały się silniej dawne bóle i zwątpienia, nawiedzały ją męczące sny.

Wstawała rano przybladła i zmęczona, kładła się wyczerpana od męki nocy bezsennej.

Zauważył jej stan Andrzej podczas jednej ze swych codziennych bytności w Ciemierzewie.

— Pani coś dolega — zagadnął ją znienacka, gdy byli sami w salonie.

Zaczerwieniła się, bo zaskoczyło ją to pytanie.

— Smutno mi — odparła i dodała szybko, jakby usprawiedliwiając się. — To jesień tak przygnębiająco na mnie działa, wywołuje niepotrzebne wspomnienia, odgrzebuje je spod popiołu zapomnienia.

— Rozumiem panią, bo i ja czuję to samo. Ale trzeba się dzielnie trzymać, panno Danko, nie dopuścić, by nerwy rozigrały się, bo wtedy chorą wolą będziemy niepotrzebnie przeogromniać nasze przeżycia.

— Ach, gdyby można było zapomnieć! — westchnęła. — Gdyby można było wzbudzić w sobie wiarę, że znów będzie dobrze, że tamto, wymazane z pamięci, wymazane będzie również całkowicie z życia — wpatrzyła się w niego pociemniałymi oczyma, w których odbijała się jej umęczona dusza.

...Gdyby mogła otworzyć przed nim swe serce i wyspowiadać się ze swych bólów i trosk, gdyby mogła... Nie zrozumiałby, potępił, a może oskarżył lub podejrzewał o sprzyjanie Bolszewikom.

— Jestem pani przyjacielem — wyrzekł, jakby odpowiadając na jej wątpliwości.

Żachnęła się wewnętrznie. Przez głowę jej szybko przelatywały myśli:

...Musi milczeć. Musi zamknąć swą duszę na dziesięć spustów, by nie mógł w niej czytać, bo w końcu dojdzie prawdy — a ona chce żyć życiem uczciwym, odpowiadającym i jej wychowaniu i naturze.

Odpowiedziała mu trochę szorstko:

— Nie wierzę w przyjaźń mężczyzn, nie szukam jej.

— To źle — odpowiedział poważnie — przyjaźń prawdziwa, bezinteresowna między kobietą a mężczyzną to najpiękniejsza harmonia...

Wzruszyła lekceważąco ramionami. — Oczy jej stały się znów twarde i nieżyczliwe, usta wygięła ironicznie.

Nie stropił się jednak jej niechęcią, nie spuścił z niej wzroku.

— Przyjdzie czas, kiedy pani uwierzy w prawość męską.

Wygięcie ironiczne ust pogłębiło się. Niespodziewanie dla niej samej wyrwało jej się zwierzenie:

— Jednego tylko znałam mężczyznę, o którego przyjaźń chodziłoby mi, tylko że on nie dba i nie dbał o to. Był to prosty człowiek, szofer, a jednak jego przyjaźni, gdybym ją miała, nie oddałabym za hołdy książąt krwi panującej... — Ot, i wygadałam się przed panem ze swego sekretu — próbowała obrócić rozmowę w żart.

— Dziękuję pani za szczerość — odpowiedział, podnosząc do ust jej rękę, którą trzymała na poręczy fotelu.

Serce szalone i głupie zabiło gwałtownie wzruszeniem i uciechą w piersi dziewczyny, a przecież czyn jego był tylko odruchem współczucia i rycerskości.

* * *

Koleje znów stanęły w różnych częściach kraju. Ceny na towary poszły w górę, marka leciała w dół z zawrotną szybkością.

Co dziś warte były tysiące, jutro kosztowało dziesiątki tysięcy. W całym kraju rozpętała się mania spekulacji i paskarstwa.

Chowano rzeczy droższe, chowano artykuły pierwszej potrzeby, nabyte za grosze, by je sprzedać następnie za tysiące.

— Święta nadchodzą, a tu nic dostać nie można — biadała pani Ciemierzewska, strapiona i zatroskana w swej roli pani domu i gospodyni.

Opatrznością okazał się hrabia.

Gdy zwierzała mu się ze swych trosk gospodarczych, zaproponował:

— Niech pani zabierze pannę Dankę i dziewczynki i pojedzie ze mną do Warszawy jutro rano, wrócimy wieczorem.

— Jaki pan dobry! Uprzejmość pana jest mi bardzo na rękę. Andrzej wyjechał na parę dni do Gdańska, więc nie miałabym z kim pojechać.

— Do Gdańska? — zdziwił się hrabia i lekka zmarszczka zarysowała się pomiędzy brwiami.

— Tak do Gdańska, z jakimś interesem.

— A więc do jutra, do dziewiątej rano. — I pani jedzie, prawda? — spytał Danki, ściskając jej rękę na powitanie.

Spojrzała pytająco na panią Ciemierzewską.

— Owszem, pojedzie. Przewietrzy się pani — zadecydowała.

* * *

Nazajutrz, punktualnie o dziewiątej zatrąbił samochód przed dworem ciemierzewskim. Ale i panie były punktualne.

Hrabia pomógł wsiąść pani i dziewczynkom, okrył je pledem.

— A pani obok mnie — wskazał Dance siedzenie na przodzie.

Usiadła niechętnie. Wolałaby siedzieć z panią Ciemierzewską, ale nie miała wyboru wobec milczącej zgody tej ostatniej.

Czuła jakąś dziwną niechęć do tego tak uprzejmego i układnego arystokraty — nie ufa jego uprzejmym słowom ani ugrzecznionym gestom.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

54)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Molly zdjęła z siebie strój balowy i narzuciła suknię codzienną. Zapomniała jednak wyjąć z włosów czerwone maki.

Dziwny kontrast stanowiły te płonące kwiaty, przy tym łożu boleści chorej położnicy.

Zuzia była tak osłabiona, że lada chwila — zdawało się — serce jej bić przestanie.

Lekarz zaordynował na wzmocnienie szampana.

Nie namyślając się ani chwili, zarzuciła Molly na siebie chustkę i pobiegła do nocnej kawiarni.

Tam z trudem tylko zdołała wyrwać się z objęć podochoconych młodzieniaszszków, którzy widząc tak przystojną kobietę samą w nocy w kawiarni, przypuszczali, że to jedna z lekkich dam.

Molly dała im porządną odprawę i pobiegła do gospodarza kawiarni.

— Ile kosztuje flaszka najlepszego szampana? — zapytała.

— Dwanaście dolarów — objaśnił gospodarz — ale można dostać i pół butelki za sześć.

— To proszę pół, ale prędko, bo to dla chorej! — rzekła prędko Molly. — A nas w mieszkaniu zastrzelił się jakiś zbieg z policji, a ona się przestraszyła i dlatego przyszła na nią przedwcześnie ciężka godzina.

— Jeżeli tak, to nie chcę na niej zarobić, oświadczył poczciwy gospodarz. — Wziął o połowę mniej za butelkę i kazał ją jak najprędzej przynieść z piwnicy.

Gdy Molly z szampanem wróciła do domu, ciężka chwila dla Zuzi już się zbliżała.

Za dziesięć minut niech będzie kąpiel — zaordynował lekarz, wlewając chorej do ust łyżkę wina, które ją bardzo pokrzepiło.

Molly zerwała się, aby spełnić polecenie lekarza i rzeczywiście za kilkanaście minut, gdy ozwało się w mieszkaniu kwilenie nowonarodzonego obywatela ziemi, kąpiel była gotowa.

Pieluszki dla noworodka były przygotowane.

Wykąpano dziecko i owinięto, poczem Molly pokazała go Zuzi.

— Chłopiec — rzekła — bardzo podobny do mamy.

Ale ona zakryła twarz rękoma i zawołała słabym głosem:

— Weźcie, nie chcę go widzieć!

To dziecko bowiem w ciężkiej chwili stanęło jej przed oczyma jako żywy wyrzut sumienia za zbrodnię, popełnioną wobec męża. Miało na lewym policzku pieprzyk. Taki sam pieprzyk i na tym samym miejscu miał baron Sturmfeder.

Molly zaniosła dzieciątko do drugiej izby, gdzie między maszynami i przyborami do prania ulokowały się pomocnice jej pralni.

Jednej z nich oddała dziecko, aby je utuliła do snu, bo malec darł się w niebogłosy.

— Jakie to mizerniutkie — rzekła do lekarza — czy będzie żyło?

— Najwyżej kilka godzin — odpowiedział lekarz — przyszło o dwa miesiące za wcześnie.

Kazał dla chorej, która usnęła z osłabienia, przygotować bulion i dać jej gdy się obudzi, a sam odszedł, przyrzekając, że wróci za kilka godzin. Wprzód jednak ostrzegał, aby ją bardzo delikatnie przygotować na to, że dziecko długo nie pożyje.

Rzeczywiście wnet po jego wyjściu dziecko usnęło, by się więcej nie obudzić.

Gdy się Zuzia obudziła, pierwszą jej myślą było dziecko.

— Ach, Boże! — jęknęła — ono mi do samej śmierci będzie przypominać mój występek!

— A czy pani myśli, że to biedactwo długo pociągnie? — spytała Molly, która była już przy niej.

— O! wiem, wiem, że długo żyć będzie, na moją hańbę, na moje potępienie!

— I życzyła by pani sobie, żeby umarło? — spytała Molly zdziwiona trochę tym brakiem serca u Zuzi.

— Na klęczkach o to bym błagała! — zawołała Zuzia.

— Bóg już naprzód wysłuchał prośby pani — odpowiedziała Molly twardo.

Ale zdziwiła się, bo Zuzia wcale nie okazała radości.

Złożyła ręce, a łzy spływały po jej twarzy.

— Biedne dziecko — szepnęła — ale to lepiej dla niego. Byłoby przez całe życie dźwigało klątwę grzechu matki.

. . . .

W kilka dni później Zuzia siedziała już na wygodnym krześle, które Molly umyślnie dla niej sprawiła i przemyśliwała nad swoją przyszłością.

— Musiałam was dużo kosztować w czasie słabości — rzekła do Molly, która krzątała się obok codziennych zajęć. — Tam w kuferku są prawie wszystkie pieniądze, które zarobiłam tutaj. Niech pani sobie je weźmie na pokrycie wydatków. Nie będzie to dużo i nie pokryje nawet połowy, ale więcej nie mam.

— E, to głupstwo — odpowiedziała Molly uprzejmie — jak pani wyzdrowieje, to odrobi wszystko podwójnie.

— Nie odrobię — odpowiedziała stanowczo Zuzia — bo jedynym moim celem w życiu jest teraz to, by odszukać mego męża i błagać go o przebaczenie.

— Ależ nie będzie pani miała na podróż, jak mi pani wszystko każe zabrać! — zawołała Molly.

— Sprzedam resztę moich rzeczy, to wystarczy — zakonkludowała Zuzia.

Zmieniła się przez czas choroby zupełnie.

Dawniej, wszystkie przysługi, które jej wyrządzono, przyjmowała bez cienia wdzięczności, jako należny sobie haracz.

Teraz czuła ogromną wdzięczność dla Molly i postanowiła wrócić jej wszystkie koszta.

Choćbym nawet miała kazać ściąć sobie włosy i sprzedać je fryzjerowi — pomyślała — muszę jej oddać wszystko.

Zdecydowana więc była nawet pozbawić się największej dawniej, a teraz jedynej ozdoby. Rzeczywiście włosy miała tak długie i piękne, że fryzjer byłby wiele zapłacił, by z nich zrobić sztuczny warkocz na sprzedaż.

Do tej ostateczności jednak nie była zmuszona gdyż z oszczędności i sprzedaży rzeczy uzyskała sumę, z której mogła wyrównać dług i odłożyć jeszcze trochę na podróż.

Gdy odjeżdżała, Molly pożegnała ją bardzo serdecznie i pokryjomu wsunęła jej napowrót do pakuneczka wszystkie pieniądze, które ona jej oddała za lekarstwa, lekarza i pogrzeb dziecięcia.

Jadąc w wagonie kolejowym miała tylko tę jedną myśl:



Król Jerzy osobiście udziela instrukcyj żołnierzom greckim podczas manewrów.

Czy on mi przebaczy? czy mi przebaczy?

Myślała o mężu i o samotnej jego chacie wśród bagien i lasu nad brzegiem Missisipi.

Zatopiona w myślach, nie zważała, jak pociąg pędzi, a szybciej jeszcze uchodzi czas, jak wreszcie po wagonach zapalono lampy, które oświetlały przedział smętnym blaskiem.

Z zadumy tej wyrwał ją nagle straszliwy trzask i w tej samej chwili usłyszała na końcu wagonu energiczny, rozkazujący głos męski:

— Nogi na siedzenia!

Mechanicznie usłuchali wszyscy tego rozkazu.

W następnej chwili ozwał się huk i turkot, jakby od gromów i Zuzi zdawało się, że cały wagon podskoczył w górę, aby za małą sekundę z olbrzymią siłą upaść znowu na dół.

Ozwał się brzęk stłuczonych szyb i pękającego pod jakimś naporem drzewa, — wśród tego okrzyki trwogi kobiet i dzieci i przekleństwa mężczyzn.

Na domiar złego lampy pogasły i nieszczęśliwi znajdowali się w zupełnej ciemności.

Nagle ozwał się straszliwy okrzyk zgrozy:

— Pali się, pali się!

Rzeczywiście płomień buchnął w górę i gryzący dym napełnił zaraz przedziały, dusząc nieszczęśliwych podróżnych.

Ku drzwiom z jednej i z drugiej strony cisnęli się pasażerowie, ale nie sposób było je otworzyć.

— Boże mój! — jęknęła Zuzia składając ręce — więc teraz muszę zginąć i nie będę mogła już Józefa poprosić o przebaczenie! Boże, bądź miłościw mnie grzesznej.

Dym stał się taki gęsty, że Zuzia straciła przytomność.

Zemdlała i padła na ławkę.

Tymczasem płomienie coraz szersze zataczały kręgi.

ROZDZIAŁ CCXII

Ostatnia nadzieja

— Nie pojmuję tego zupełnie — rzekła zmartwiona pani Tulliwer.

— To straszna zagadka — potakiwała pani Waker.

— Bóg wie, co za nieszczęście się mogło stać — dokończyła pani Snob.

Wszystkie trzy dobrze nam znane Angielki, siedziały w eleganckim salonie w mieszkaniu, które zajmowały w jednym z pierwszorzędnych hoteli paryskich.

Córki były zmartwione i stroskane — natomiast matka ich więcej zirytowana.

Pani Snob z denerwującym pośpiechem robiła jakąś robótkę na drutach dla stowarzyszenia misjonarzy. Pani Tulliwer miała w ręku jakiś delikatny bardzo i kunsztowny haft, nad którym pilnie pracowała, ale ręce często opadały jej beznadziejnym ruchem na kolana. Podobnie działo się przy innej jakiejś robocie pani Waker.

— James — zaczęła znowu piękna Inez podejmując rozmowę — przyobiecał mi z całą stanowczością, że napisze, jeżeli by był zmuszony zatrzymać się w Charolois dłużej niż siedem dni. Ogromnie mnie to niepokoi, że się nie odzywa. Trzy tygodnie upłynęły już od czasu, jak wyjechał i nie tylko, że nie widać go z powrotem, ale przez cały ten czas ani słówka nie napisał o sobie.

— I Wilfred tak samo! — dodała płaczliwie pani Waker.

— A ja wam powiadam, moje kochane dzieci — ozwała się pani Snob — tam z pewnością jakieś stało się nieszczęście! Albo wszystkie kopalnie runęły przy eksplozji, i to właśnie wtedy, kiedy oni byli w szybach, albo pociąg, którym jechali wykoleił się, albo zderzył się z jakimś drugim, albo...

— Ależ mamo! — przerwała jej niecierpliwie Inez — to przecież Bogu dzięki wszystko niemożliwe, co mama mówi! Gdyby się coś podobnego było zdarzyło, to wieść o tym zaraz by się rozeszła po całym kraju. Dzienniki i gazety wszystkie by o tym pisały! A przecież, chwała Bogu, żadnej takiej wiadomości w ostatnich czasach nie było! Czego nas mama jeszcze niepokoi takimi strasznymi przypuszczeniami!

— Przecież coś musiało się stać — odpowiedziała pani Snob trochę ciszej, bo już była onieśmielona, ale z uporem trwała przy swoim zdaniu. Jeżeli nic takiego, co wymieniłam, to w każdym razie coś innego. Może zginęli gdzieś od jakiejś zaraźliwej choroby, albo może zaczadzili się w hotelu którym po drodze, kto to wie?

— Na miłość Boską, mamo, proszę już nic nie mówić! — zawołała pani Tulliwer głosem, w którym znać było udręczenie — serce mi pęka, kiedy sobie pomyślę, że oni mogli by tak okropnie zginąć!

Pani Snob przestraszyła się i umilkła.

Robiła robotę swoją, nie odzywając się już, ale w duchu odmalowywała sobie z bardzo małą dozą współczucia, a z ogromnym nakładem pracy wyobraźni, jakiego to jeszcze różnego rodzaju liczne nieszczęścia mogły spotkać jej zięciów po drodze do kopalni.

— Gdybym tylko wpadła na ten pomysł, jakim by sposobem uzyskać można pewność — odezwała się po chwili znowu pani Tulliwer — wiesz — zwróciła się do siostry — to bardzo nieszczęśliwy przypadek, żeś zgubiła adres.

Nie było jednak w jej głosie wyrzutu. Teraz, gdy nieszczęście groziło im, czułe siostry nie sprzeczały się już tak, jak dawniej.

— Ja go nie zgubiłam, doprawdy! — broniła się płaczliwie Fidez. — Słowo ci daję, że nie pojmuję, jakim sposobem to się stało, że tej kartki teraz nie ma w mojej mapie. Prosiłam Wilfreda, żeby mi na karteczce adres napisał, i on napisał i sam włożył do mojej mapy na biurku.

Gdy potem znowu szukałam tej karteczki w mapie, nie było jej — znikła gdzieś bez śladu. Nie mam pojęcia, co się z nią stało, bo chyba mi ktoś musiał ją wyjąć, czy co dość, że jej nie ma.

Fidez była mniej energiczna i teraz, siedząc bez wieści o mężu i nie mając jego adresu, szukała ulgi we łzach.

— Ja jej także nie zgubiłam — rzekła Inez — ale to nasze nieszczęście, bo ja wprawdzie nie zgubiłam, ale też nie miałam wcale i przedtem żadnego adresu od mego męża. Kiedy Jamesa prosiłam, żeby mi podał swój dokładny adres, odpowiedział że Wilfred dla ciebie wypisał wszystko jak najdokładniej, żebym sobie więc wzięła adres od ciebie.

Przerwała na chwilę, ale Fidez milczała bezradnie.

— Co teraz począć? — rzuciła Inez znowu — nie możemy nawet napisać do nich i zapytać się, co się z nimi dzieje! Jedyna rada, to ta, żeby pojechać do Marolais, poszukać ich tam na miejscu, względnie, jeżeli ich tam nie ma, dowiedzieć się, dokąd się udali, gdzie się podziali!?

— A czy to daleko? długo się jedzie tam do tego, ...tego — zapominam zawsze te zagraniczne nazwy — zawołała pani Snob, która uważnie przysłuchiwała się całej rozmowie, prowadzonej przez córki.

— To znaczy, chciałam wiedzieć — dodała — czy koszta podróży wyniosą dużo. Bo zawsze to im taniej, tym lepiej.

— Oj! — odezwała się zamyślona Fidez — to bardzo droga podróż! Kosztowałoby bardzo wiele!

— Jeżeli tak — odpowiedziała pani Snob, to już teraz za tę podróż musicie same ponosić koszta, bo ja z moją kasą jestem prawie całkiem gotowa. Ledwie tam na dnie coś jeszcze brzęczy.

— Jak to? To niemożliwe! — zawołały równocześnie obie jej córki, przestraszone do najwyższego stopnia. — Mama chyba żartuje! To byłoby przecież okropnie! Na miłość Boską, co my poczniemy! Nie mamy faktycznie ani franka gotówki.

Pani Tulliwer i pani Waker były zrozpaczone.

— Ależ moje kochane dzieci — zawołała pani Snob w tonie nagany — to szczyt nieostrożności! Jakże można tak zostawać bez centa! Trzeba się było przecie u mężów zaopatrzyć w odpowiednią ilość pieniędzy, która w każdej chwili może być potrzebna! Któż tak robi! Trzeba im było powiedzieć, zanim wyjechali!

Inez i Fidez westchnęły, ale żadna z nich nie odpowiedziała na uwagi matki.

Musiały sobie biedaczki przypomnieć może jakąś scenę z przeszłości, gdy żądały pieniędzy od swoich małżonków i jakie niepożądane skutki wywołało to niewinne ich żądanie.

— Tak jest — mówiła dalej pani Snob, która czuła potrzebę mówienia, gdy tymczasem milczenie córek bardziej jeszcze ją denerwowało.

Aż do tej chwili — mówiła dalej, gdy córki się nie odzywały — ja sama opędzałam wszystkie wasze bieżące wydatki tutaj, — żądałyście tego ode mnie, ale ja nie przypuszczałam, że dlatego, że same nie macie. Myślałam, że wy tak naumyślnie, bo i jako panny jeszcze lubiałyście udawać, że nic nie macie, i żądałyście, żebym ja zawsze sięgała do kieszeni, choć i wasze były pełne. Ale to był wasz ulubiony podstęp, że mówiłyście, że nie macie i ja myślałam, że teraz tak samo! Nie mówiłam nic, tylko płaciłam, ale teraz już koniec mojej kasy. Oddałam Tulliwerowi cały majątek, jaki miałam, a sobie zostawiłam tylko trochę monety. I tę wydałam teraz prawie całą. Mam kilka franków; musicie się teraz same starać o wszystko, czego potrzeba, bo ja dałam wam wszystko, co miałam. Teraz ja jestem na waszej łasce!

— Na miłość Boską, mamo! Cóż teraz mamy począć!? — zawołała Inez przerażona. — Przysięgam mamie, że my także nie mamy kompletnie nic! Liczyłyśmy święcie na to, że mama ma! Co tu zrobić!? Co tu zrobić!?

Teraz poczciwa i potulna pani Snob już się zaczęła gniewać.

Dotychczas nie przypuszczała, żeby mimo wszystkie nieszczęścia, jakie mogły spotkać jej kochanych zięciów, groziło coś jej samej, lub jej córeczkom.

Teraz jednak wyrastało w niej coś, jakby głuche przeczucie, któremu nie miała odwagi spojrzeć w oczy.

Usiłowała więc instynktownie stłumić je w sobie i krzyczała z całej siły:

— Jak mogłyście być takie głupie!? Przecież same żądałyście ode mnie, abym wszystko oddała waszym mężom! Cóż my teraz poczniemy, zanim oni wrócą, ci wasi małżonkowie!?



Japońscy lotnicy zbombardowali również sławny uniwersytet w Wesung (pod Szanghajem). Gmach ten był jedną z najpiękniejszych budowli w Chinach.

— Czy mama nie mogła by postarać się o pieniądze z Anglii? — zapytała pani Tulliwer nieśmiało.

— Mowy o tym nie ma! — zawołała pani Snob w odpowiedzi. — W Londynie mam jeszcze wszystkiego jedną jedyną hipotekę i to na drobnostkę; wynosi zaledwie dwa tysiące funtów szterlingów. Wymówiłam ją wprawdzie, ale dostanę ją dopiero za kwartał. Teraz ani centa stamtąd nie wydostanę. Cóż ja wam poradzę!

— Boże święty! — lamentowała Inez, cóż my teraz poczniemy? Ja muszę zarządzić poszukiwania, żeby odnaleźć Jamesa! Niepokój o jego los żyć mi nie daje! I jak tu to wszystko zrobić, gdy się nie ma ani centa! Jezusie miłosierny! Skąd tu wziąć pieniądze! Jakim tu sposobem dorwać się pieniędzy! — zapłakała rzewnymi łzami, a Fidez wtórowała jej rzetelnie.

Obie te nieszczęśliwe niewiasty, razem z matką, jeżeli zawiniły czym, to tylko głupotą, a teraz za to spotkał je straszny los.

Wzrastały one w zbytkach, w przepychu i we wspaniałym dobrobycie, w zamożności, która przyzwyczaiła je sypać pieniędzmi z pełnych garści, bez oglądania się skąd i po co, bez troski o jutro.

Zawsze mogły czynić zadość wszelkim, choćby najkapryśniejszym swoim zachciankom i nie miały pojęcia o tym, co to znaczy odmówić sobie jakiejś przyjemności lub wygód, zaspokojenia licznych potrzeb. A teraz?

Teraz ujrzały się nagle w okropnej sytuacji.

Pierwszy raz w życiu zdarzyło się im, że były w kłopocie i to w wielkim kłopocie o pieniądze. I na domiar złego stało się to w chwili, kiedy były na obczyźnie i to wtedy, kiedy właśnie potrzebowały bardzo dużo pieniędzy, żeby poszukać małżonków, którzy w tak tajemniczy sposób przepadli i odchylić zasłonę zakrywającą los Wakera i Tulliwera.

Ze wszystkich trzech, najrozsądniejsza i najbardziej energiczna była Inez.

Ona też w tej ciężkiej chwili wzięła w ręce kierownictwo losami całej rodziny.

— O pieniądze trzeba się postarać w każdym razie! — rzekła stanowczo — i to zaraz! Nie widzę innej drogi, jak tę, żeby pójść do właściciela hotelu i zastawić u niego część naszych kosztowności. Przypuszczam, że nie będzie się wahał wypłacić nam za nasze perły i diamenty wysoką sumę.

Sam zrobi na tym także dobry interes. Tak więc mam zamiar zrobić, chyba, że ty Fidez widzisz inne wyjście. Może masz plan inny, to powiedz?

— Nie, ja nie wiem — odpowiedziała szlochając, zagadnięta — ale to straszna myśl, rozłączyć się z tymi drogimi rzeczami, zastawiać!

— I wstyd do tego! — mruknęła nieśmiało pani Snob, chociaż nie mogła zaprotestować, gdyż to rzeczywiście było jedyne wyjście.

— Ba — odpowiedziała pani Tulliwer, perswadując — jak można być tak małomiasteczkową w tak ważnej chwili.

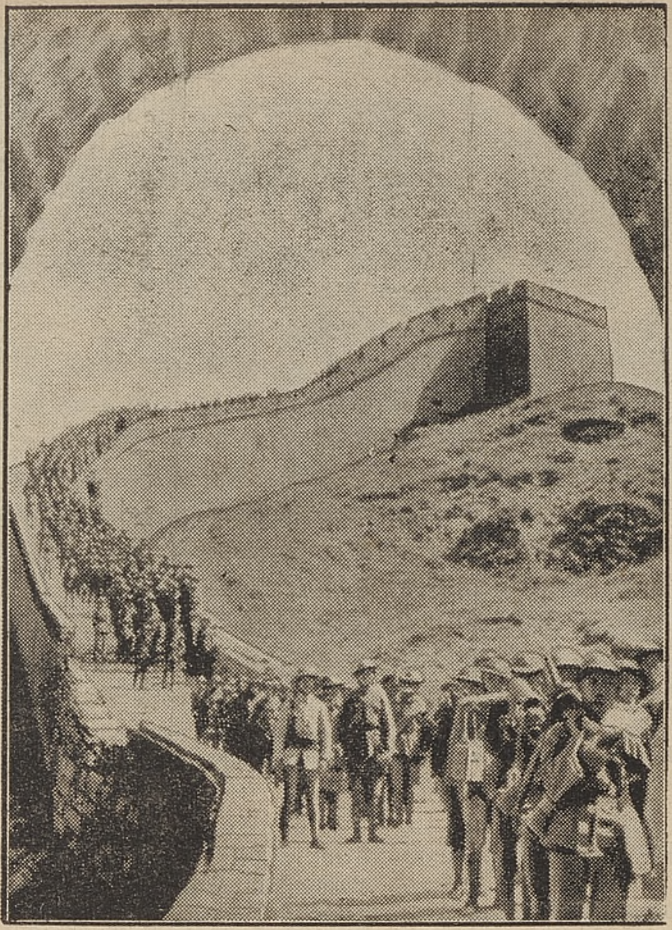
Powiem panu Lefrance (tak się nazywał właściciel hotelu) i przedstawię mu całą historię już w tak sprytny sposób, że nie będzie w tym nic poniżającego. Powiem mu, że przesyłka nasza z Anglii spóźnia się nadspodziewanie, że mężowie nasi także nie mogą teraz wrócić i dlatego chwilowo jesteśmy w kłopocie pieniężnym. Ale ażeby jemu dać pewność, że mu zwrócimy pożyczone pieniądze, dajemy klejnoty, których wartość przewyższa kilkakrotnie sumę, którą od niego żądamy. Cóż to takiego strasznego. Pewnie nie pierwszy raz będzie słyszał coś podobnego i wcale się nie zdziwi. Więc czekajcie, ja idę natychmiast wykonać mój plan.

Zdecydowana, nie czekając odpowiedzi, podniosła się, by wykonać zamiar.

Poszła do drugiego pokoju.

Tam na półeczce stała skrzynka z drzewa hebanowego, a w tej skrzynce leżały jej klejnoty.

Otworzyła ją i nie przyglądając się tym razem, jak to zawsze czynić była zwykła, wspaniałym kosztownościom, wyjęła drogo-



Na zdjęciu widzimy wojska chińskie, które po ostatniej porażce cofnęły się szybko na mur chiński.

cenny garnitur brylantowy i kolię ametystową.

— To wystarczy zupełnie — rzekła do siostry, wróciwszy do saloniku — ty możesz sobie swoje na razie schować.

Fidez kamień spadł z serca.

Była ona taka głupia i małostkowo oszczędna, a raczej chciwa, że mimo całej okropności sceny, jaka się przed chwilą odegrała przed jej oczyma, mimo, że ona sama w tej scenie była czymś więcej, niż widzem i słuchaczem, teraz górę w niej wzięła myśl o tym, że szkoda wyzbywać się tak pięknych klejnotów.

Inez natychmiast poszukała gospodarza hotelu, który w samej rzeczy ani chwili się nie zawahał i na tak drogocenny zastaw wypłacił jej wcale pokaźną sumę.

Z tych pieniędzy zapłaciła mu zaraz rachunek hotelowy za siebie, matkę i siostrę, czym już zupełnie rozwiązała wszelkie wątpliwości pana Lefrance co do tego, że ma do czynienia rzeczywiście z wielkiem państwem, którzy chwilowo tylko i przypadkiem są w kłopocie pieniężnym.

Z całą pozostałą sumą, a była to jeszcze wcale niemała, wróciła do mieszkania.

Tu opowiedziała krótko matce i siostrze, jak sprawa poszła i zakończyła słowami:

— Ja dziś jeszcze jadę do Charolais.

— I ja naturalnie także! — pośpieszyła dorzucić pani Fidez.

— To tak!? — oburzyła się pani Snob gwałtownie — a mnie, starą matkę, chcecie tu, w obcym kraju, gdzie się z nikim nie mogę porozumieć, zostawić smą? Ależ to jest największa bezwzględność z waszej strony!

Inez uspokoiła ją.

— Niech mama jedzie z nami — rzekła — ale to mamie powiadam i na to proszę się przygotować, że to nie będzie podróż dla przyjemności. Ja mam bardzo złe i dręczące przeczucia. To milczenie Jamesa i Wilfreda, to ich zniknięcie bez śladu, jest dla mnie bardzo zagadkowe!

Pani Snob zaczęła triumfować, że stanęło na tym, co ona już dawniej mówiła.

— Ja mówiłam przecież, że im się musiało zdarzyć jakieś nieszczęście! — zawołała z tym uporem i brakiem serca, który czasem tak szpeci starszych ludzi. — Ale bądź co bądź, ja jadę z wami. W każdym razie lepiej mi jechać i tłuc się z wami, niż samej tu zostać.

Inez i Fidez nic już nie odpowiedziały, gdyż były zajęte przygotowaniami do podróży.

Inez wzięła do ręki rozkład jazdy kolejowej i rozłożyła przed sobą mapę, na której szukała jakiejś miejscowości. Rzeczywiście znalazła Saint-Honoré. Tak się nazywała, według opowiadania Jamesa, miejscowość, obok której miały leżeć projektowane kopalnie.

Skoro więc znalazła to na mapie i wiedziała już dokąd ma jechać, w którym kierunku rozpocząć poszukiwania — najpierwsza przeszkoda była przezwyciężona. Inez zapakowała sobie najpotrzebniejsze na drogę rzeczy, ale była o tyle ostrożna, żeby wziąć z sobą resztę klejnotów.

Mogły jej się przydać w drodze.

Pani Snob i Fidez spakowały się także i wszystkie trzy damy wybrały się w podróż.

Olbrzymie kufry z drogocennymi i licznymi toaletami i kostiumami pani Tulliwer i pani Waker oddano do przechowania panu Lefrence, w pokojach, które zarezerwowano.

Nie trudno sobie wyobrazić z jakim niepokojem młode żony odbywały całą podróż i jak się przez całą tę podróż dręczyły różnymi przypuszczeniami.

Nareszcie konduktor oznajmił, że pociąg zatrzymał się na stacji Saint-Honoré.

Inez nie pozwoliła sobie nawet na to, żeby trochę wypocząć. Z jednego hotelu do drugiego jechała dorożką, zapytując się o męża, względnie o szwagra. Ale nigdzie panowie tego nazwiska nie byli zapisani w księgach hotelowych, ani też nie widziano w żadnym hotelu panów, którzyby tak wyglądali, jak ich Inez opisywała.

Niepokój i trwoga młodej damy rosła z każdą chwilą. Zrozpaczona udała się do biura policyjnego. Ale i tu dowiedziała się, że ani Tulliwer ani Waker na policji nie byli meldowani. Przerażona odpowiedziała, że to przecie nie może być, że Mr. Tulliwer należał do tego nowego przedsiębiorstwa kopalnianego.

Urzędnik policyjny zdziwił się.

— Nowe przedsiębiorstwo kopalniane? Tu, obok Saint-Honoré? — zawołał. — Pani się myli, tu nie ma żadnej nowej kopalni!

— Ale przecie ma powstać tu w okolicy nowa kopalnia? — zawołała z udręczeniem nieszczęśliwa niewiasta. — Przedsiębiorcy Tulliwer, Laplance i Ferrand zakładają!? Jakto!? pan nic o tym nie wie!?

— Wiedziałbym o tem z całą pewnością, gdyby takie przedsiębiorstwo kopalniane było planowane w naszej okolicy, — odpowiedział uprzejmie komisarz. — Ale w całym Saint-Honoré nikt nic o tym nie wie. Nazwiska, które pani tu wymieniła, są tu zupełnie obce i nieznane. Obok Saint-Honoré jest tylko jedna kopalnia, ale ta istnieje już od kilkudziesięciu lat i jest własnością barona Rotszylda z Paryża.

Wiadomość ta spadła na panią Tulliwer jak grom.

To, o czym dowiedziała się teraz, było jeszcze straszniejsze, niż to wszystko, czego się obawiała.

Zbladła śmiertelnie i musiała się uchwycić krzesła, żeby nie upaść.

Uprzejmy komisarz przyniósł jej szklankę wody, w której Inez umoczyła tylko wargi.

Ochłonąwszy nieco, spytała go, czy gdzieindziej może zakłada się jaka nowa kopalnia.

Komisarz wiedział dokładnie, że w całym okręgu nie tylko nie powstała żadna nowa kopalnia. ale że o czymś podobnym, o zakładaniu kopalni mowy wcale tu nie było.

Inez podziękowała mu, ale blada była, aż po wargi, i oczy miała jakby osłupiałe.

Ciężkim krokiem lunatyczki powlokła się z powrotem do hotelu, gdzie czekały na nią cierpliwie matka i siostra.

W mózgu jej wrzało i huczało. Myśli burzą całą waliły się jej do głowy. Czyż to możliwe? Czy James mógł ją tak niesłychanie oszukać i okłamać? Czyż wszystko co opowiadał o tym, że ma się założyć kopalnię, było tylko kłamstwem, bezczelnym kłamstwem, wymyślonym tylko po to, żeby zagarnąć w swoje ręce resztę majątku Snobów? Ależ to niemożliwe, żeby dwaj członkowie tak arystokratycznych rodów, jak Tulliwer i Waker, tak dalece się zapomnieli, żeby się uciec do tak haniebnego czynu! Ale jeśli to mimo wszystko rzeczywiście tak się stało, to gdzie oni teraz się obracają ze skradzionymi pieniędz-

Ciąg dalszy na str. 877.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

ŁZY

Stary cmentarz, był ciemny, ponury,
Gdy ponad świeżą stanąłeś mogiłą.
Niebo zasnuły ołowiane chmury,
Wicher szamotał się z podwójną siłą.
I chyliły się brzozy płaczące,
Wiatr zawodził melodie łzawe,
A po licach twych, duże i błyszczące,
Jak brylanty — łzy spadły na trawę.
Więc odeszłam wzruszona bez słowa.
Na opodal wijącą się drogę,
Nie wiem dotąd, kogo kryje mogiłka darniowa,
Lecz łez twoich zapomnieć nie mogę.
Dziś po latach sięgając pamięcią
W przeszłość martwą i zimną, jak stal,
Dzisiaj czuję, że umarłabym z chęcią,
Gdyby został po mnie ten sam żal...
„Wieszczka Kwiatów".

JAK NAJPRĘDZEJ!

„Mały Staś". List Pana dostałam, lecz wzajemnie, mam list dla Pana, a nie znam Pana dokładnego adresu i nie mogę go Panu dosłać. Proszę przysłać mi swój adres jak najprędzej i przyjąć serdeczne pozdrowienia!

PROSI O PODANIE ADRESU

Pan J. Baranowski pozdrawia całą „Krainkę" i prosi tę „Krainiankę", która przesłała mu wyrazy uznania, o podanie dokładnego adresu.

DZIĘKUJEMY!

„Samotnemu Romowi" dziękuję w imieniu całej „Rodzinki" za pamięć i tak bardzo serdeczne pozdrowienia.

My wzajemnie pamiętamy o Panu i życzymy Mu dużo radości oraz prosimy, o długi, długi list.

HALO!...

„Płomyczek". Halo! Drodzy „Krainiacy" — Tu „Płomyczek", który prosi byście zechcieli rozdmuchać w nim iskry zapału i wiary w ludzi, gdyż jest bardzo zawiedziony i zniechęcony.

Napiszcie do mnie, a będziecie mieć zasługę, gdy nikły „Płomyczek" zamieni się w płomień jaśniejący silnie i sięgający wysoko.

Czekam na Wasze dobre słowa i pozdrawiam gorąco!

Pozdrawiam Panią „Płomyczku", i myślę, że wkrótce już otrzymasz te upragnione listy od „Krainiaków".

DZIĘKUJĘ!

„Zbłąkana Gwiazda". ...I bardzo jestem Pani wdzięczna za to wszystko, bo takie zrozumienie często więcej zdziała, niż największe morały i upomnienia i takie słowa, jak te Pani, idą nieraz za człowiekiem przez całe życie i często chronią go od zboczenia z prostej drogi".

Dziękuję Pani za to piękne, wzruszające uznanie, jak również za wszystkie uczucia, jakie Pani do mnie żywi. Jakże miło mieć tę świadomość, że się jest kochanym i potrzebnym, a to wpoiła Pani we mnie, swoim ostatnim listem, bardzo głęboko.

Pyta Pani w jaki sposób przesłać do wydawnictwa rękopis powieści? Otóż wystarczy skrypty włożyć do dużej koperty i wysłać jako zwykły list, oczywiście odpowiednio ofrankowany. Ile zaś trzeba nalepić na kopertę znaczków, poinformują Panią na poczcie.

Co podarować księdzu z okazji prymicji? Jakiś piękny obraz, krzyżyk z kości słoniowej na biurko, odpowiednią książkę lub też jakąś artystyczną rzeźbę któregoś ze Świętych.

Na zakończenie ślę Pani mocny, bardzo serdeczny uścisk dłoni i nie zapominam o zamieszczeniu dopisku z listu Pani:

„Panu J. Baranowskiemu: cóż mogę powiedzieć o sobie więcej, jak to, że mimo wszystko kocham życie i że chciałabym być kochaną, Twe wiersze są cudne! Takie słoneczne i takie rzewne... Czy mogę spodziewać się, że jeden z nich będzie przeznaczony kiedyś dla mnie?

„Czarnooką Irę" mocno, mocno ściskam za przesłane mi pozdrowienia i odwzajemniam je w pełni.

Pozdrawiam też „Marylkę z nad Warty".

CZAS POKAŻE SWOJE...

„Polna Różyczka II." Pierwsza część listu Pani, przeznaczona wyłącznie dla mnie — oczarowała mnie. Ślicznie, ślicznie za wszystko dziękuję!

A teraz wyjaśniam: przesyłając list dla Sympatyczki, czy Sympatyka „Krainy", trzeba go umieścić w zamkniętej kopercie, zaopatrzonej w pseudonim, i przesłać wraz z znaczkiem na moje ręce. Oto cała ceremonia!

Przykro mi, że dotychczas powodziło się P. słabo w korespondencji (oczywiście nie z winy Pani, ale niefortunnych adresów!) jednak to, co przed tym „szło, jak z kamienia, może teraz pójść, jak z płatka!". Ano, zobaczymy! Czas pokaże swoje, prawda?

Na zakończenie oddaję głos Pani:

„Halo! „Rudi 220-380", nie zapomniałam, wkrótce napiszę długi list.

„Smutna Irutko", dziękuję za zaufanie. W Kleczewie byłam 10 lat temu wstecz. Nie znam.

„Smutny Sztubaku", gdzie obiecany list? Czy po egzaminie zmienił Pan pseudonim?

W „Białym Zwidzie" znalazłam pokrewną duszę. I ja potrafię podobnie tęsknić i długo żyć wspomnieniami.

Zazdroszczę „Nieznajomej" z Pabianic. Ten wiersz o uśmiechu i te usta zachwiały moją równowagę duchową. Śliczne wierszyki.

P. J. Płóciennikowi wiele uznania za miłe utwory literackie.

Pozdrowienia wraz z prośbą o liścik ślę: „Lawrence'owi", „Baronowi Cygańskiemu" i „Dor — On'owi".

KTO LUBI POLOWANIE?

„Wesoła Dusia spod Grudziądza. Przyjmuję Panią do „Krainy" i proszę czuć się w niej jak najlepiej.

Dusia jest miłym, młodym dziewczątkiem o niebieskich oczach, — lubi śpiew, taniec, muzykę i polowanie. W tym ostatnim często bierze udział, gdyż będąc córką leśnika, ma doskonałą po temu możność.

Może znajdzie się jaki równie gorący zwolennik tego sportu, który napisze do naszej nowej siostrzyczki?!

Halo! „Smutna Steniu spod Grudziądza" — napisz do mnie! Zdaje się, że się znamy. Pozdrawiam Cię!

Wszystkim „Kraíniankom" i „Krainiakom" posyłam serdeczne uśmiechy.

DAWNIEJ, A TERAZ...

„Renia z Kujaw". Dotychczas nie miała Pani ani jednej, oddanej sobie osoby, a teraz ma ich cały legion! Nie dziwię się też, że z tego powodu liścik Pani jest taki ogromnie radosny i serdeczny.

„Zależy mi bardzo — pisze Pani — na Waszej przyjaźni, Kochani „Krainiacy", bo właśnie wśród Was znalazłam iskierki upragnionej radości i zadowolenie.

„Białej Ujali" ślę uściski i proszę o list.

Halo! „Marzycielu z nad Noteci"! Odezwij się, bo i ja mieszkam nad Notecią.

Osobne pozdrowienia — „Dzince", „Blance", „Sportsmence", „Sierocej Doli", „Wirrytowi" i „Młodemu Orłowi".

„MOŻE UDA SIĘ?

„Szare Dziewczę". Jakże smutny jest liścik Pani! Doprawdy, cieszyłabym się, gdyby Pani w jak najbliższej przyszłości wzięła rozbrat z tymi uprzykrzonymi smutkami i tęsknotą. No, może uda się! Proszę spróbować! —

„Źle mi jest na świecie. Czuję się taka opuszczona i nikomu niepotrzebna. Zapomnieli wszyscy o mnie (czy to, aby prawda?!) i nikt nie dzieli się teraz ze mną swoją radością, czy smutkiem. A tak pragnęłabym być komuś potrzebną! Tak pragnęłabym otrzymywać skądś pogodne listy!

Halo! Halo! „Erosie"! Tu „Szara Dziewczynka"! Może zechcesz napisać do mnie?

Może ktoś sprawi mi trochę radości, poświęcając mi jakiś utwór? Będę nieskończenie wdzięczna.

Na zakończenie pozdrawiam „Dziewczę z Kujaw", „Orlicza" i „Bolka z Bydgoszczy".

Mój adres brzmi: postę — restante, Bydgoszcz 10, dla „Szarego Dziewczęcia".

POZDRAWIAM I CZEKAM!

„Dziewczę z Ludu". Przyjęłam Cię z przyjemnością do „Krainki", a wierszyki Twoje oddałam do Teczki Wujka Janusza — spodziewaj się niedługo oceny.

Cieszy mnie, że z takim zapałem czytasz „Moje Powieści" i że tak wysoko cenisz sobie możliwość należenia do naszego rodzinnego grona. Oby Ci w nagrodę było w nim jak najlepiej, najserdeczniej. Sądzę zresztą, iż rychło zaprzyjaźnisz się z nami, zwłaszcza że lubisz szczerość, pogodę i miły uśmiech.

Proszę, abyś nadesłała mi swój adres.

Pozdrawiam Cię serdecznie i zamieszczam Twoje pierwsze komunikaty:

„Halo! Serdeczne pozdrowienia przesyłam wszystkim Sympatyczkom i Sympatykom, a osobne „Sztubakowi spod lasu", „Narcyzowi", „Blance", „Szarej Dziewczynce", „Niestrudzonemu Wędrowcowi", „Romantycznemu Śpiewakowi" i „Te - Emowi".

Bardzo będę wdzięczna, jeśli od kogoś dalekiego otrzymam list. Odpowiedź jest więcej niż pewna.

Jeszcze raz pozdrawiam gorąco i czekam!"

MAMY NOWĄ „KALINĘ"...

„Kalina". Ujęła mnie Pani swoją bezpośredniością, z jaką zwróciła się Pani do mnie. Tak, to bardzo swojsko brzmi „droga pani"; można też pisać do mnie jeszcze prościej, np. „droga Zosiu". To zresztą będzie zależało od Pani, „Kalino". W każdym razie za swobodne, miłe podejście do mnie — nie pogniewam się nigdy, bo jakże?...

Wierszyk przekazałam do „Teczki Wujka Janusza" i na przyszłość proszę, niech Pani zawsze przekazuje wszelkie wierszowane utwory do tego działu.

Jakże mi miło, że w „Krainie Szczerości" mamy znowu „Kalinę"! Kiedyś bowiem rozpisywała się bardzo ładnie w „Krainie" i wierszem i prozą pewna sympatyczna osóbka, nosząca właśnie pseudonim „Kalina". Obecnie po tej „Kalinie" nie pozostało śladu, prócz kilka wierszyków w starych numerach „Moich Powieści", ale wzamian... mamy nową „Kalinę" i w dodatku godną następczynię tamtej, bo jak widzę nowa „Kalina" pisze także ładne listy i płodzi wierszyki. Serdecznie pozdrawiam kochaną „Kalinę", a tej „Kalince", którą losy uniosły daleko od „Krainy" przesyłam dużo dobrych, gorących słów.

„BARDZO CHĘTNIE NAWIĄŻĘ KORESPONDENCJĘ"...

„Walaemira". Nadzieja Pani nie była daremną, bo oto zamieszczam dzisiaj Pani apel, jak również dziękuję za nadesłane serdeczności, które odwzajemniam mocnym uściskiem dłoni.

„Kochani „Krainiacy"! Mam zamiar pogawędzić z Wami na różne tematy. Jestem ciemną szatynką, po dwudziestce, podobno przystojną i miłą. Bardzo chętnie nawiążę korespondencję z starszym panem. Poza tym, jeżeli ktoś potrzebuje jakiejkolwiek pociechy i oparcia, niech napisze do mnie również. Adres mój brzmi: poste — restante, Więcbork (Pom.) dla „Waldemiry".

Miłe pozdrowienia załączam dla: „Zrównoważonego Jasia" i „Barona Cygańskiego".

Halo! Gdyniacy, Bydgoszczanie i Toruniacy! — piszcie do mnie!

CZY NIE BYŁOBY LEPIEJ?

„Tajemnicza Szatynka". Droga Dziewczynko! Czy nie lepiej byłoby, gdybyś napisała o zwrot zdjęć bezpośrednio do wymienionych w komunikatach osób? Przypuszczam, że to odniosłoby i szybszy skutek i byłoby dla jednej i drugiej strony delikatniejsze. Wszak mam rację? Proszę o tym pomyśleć i dalej o mnie pamiętać.

PROŚBA SPEŁNIONA

P. J. F. Płóciennik. List Pana otrzymałam w poniedziałek i postaram się zadość uczynić Jego prośbie. Jednakże wiersz ukaże się w numerze niedzielnym z datą 17. 10. br., gdyż numer wcześniejszy dawno już wyszedł.

Pozdrawiam Pana bardzo serdecznie i proszę o nieprzerywanie kontaktu z „Krainką".

POZDRAWIAM

„Mewka z nad Warty". Pozdrawiam Cię, „Mewko", bardzo serdecznie i zapytuję, czy ucieszył Cię dosłany prze mnie list.

Nie opisałaś nam swych wrażeń z pobytu w Zakopanem — czy to ładnie być tak samolubną. Popraw się na przyszłość.

Całuję Cię i proszę o pamięć!

WIEM

„Królowa Gizella". Moja Mała Dziewczynko — już teraz chyba otrzymujesz listy i jesteś zadowolona. Wiem, że jesteś człowiekiem o czułym sercu, wywnioskowałam to już dawno z Twoich listów. Znajdziesz też na swej drodze jeszcze ludzi wartościowych — tylko wierz w to, wierz silnie bez zwątpień.

Oczywiście, że nie mam Ci za złe, że piszesz smutne listy. Zawsze chętna jestem do pomocy i przesłania słów otuchy — dla Pani tym bardziej, wszak wiem jaką wierną siostrzyczką „Rodzinki" jesteś.

Całuję Cię i życzę szczęścia!

WZAJEMNIE

„Uśmiechnięta Wandulka". Serdecznie dziękuję za pamięć i milutkie fotki. Jedno ze zdjęć dałam do „Krainy" — zauważyłaś?

Napisz, co robisz teraz i jak się czujesz. Dziękuję za pozdrowienia dla mnie i dla „Krainiaków" i pozdrawiam wzajemnie.

RADZĘ...

„Taki Jeden". Nie wiem, czy bardzo Pan mnie zna, ale że ja znam Pana trochę, to jasne. Dziwnie Pan pisze — rzeczywiście jak taki jeden, no mniejsza! Chciałam wiedzieć, dlaczego to „musi tak być", że Pan pisze zbyt „osobiście"? Uważam, że nic nie „musi" gdy się tego nie chce.

Jeżeli zaś chodzi o p. Zosię, to należy pogodzić się z koniecznością tej, a nie innej — rozumie mnie Pan?

Absolutnie nie mam urazy do Pana za to, że pisałeś z uśmiechem, jak do osoby trochę nieznanej, a trochę już bliskiej. Mogę tylko lekko zaznaczyć, że ta „panienka" patrzy na kogoś pod odwrotnym kątem. Mianowicie jest jej trochę już znany, a więcej obcy. Sic!

Czy zechce Pan napisać długi i nie tyle szczery, ile bardziej otwarty list? Poczekam na niego cierpliwie. Na razie pozdrawiam Pana i radzę mu jednak nabrać powagi, aby nie musiał pytać: „Czemu?"

ZAWSZE!

„Smutna Iwonka". Miła Moja Dziewczynko! Przykro mi, że nie otrzymałam, czy może przeoczyłam Twój adres. Za to teraz wciągnęłam go do spisu i natychmiast wysłałam Ci zalegający list oraz odpisuję na Twój. Pocztówki wysłałam adresatkom.

Nie mam Ci co wybaczać — pismo masz czytelne i ładne, styl gładki, a w treści przebija dużo serca i nadzwyczajnej uprzejmości — czy to nie dosyć, aby Cię polubić, ba! nawet pokochać?

Jesteś Mój Mały, bardzo kochany Bąk i możesz pisać, ile tylko zechcesz — zawsze z największą przyjemnością będę otrzymywała Twoje listy.

Teraz pozdrawiam Cię, Kochana, i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Serdeczne pozdrowienie i moc uścisków dla „Milutkiej Leny", „Słodkiej Danusi", „Czarodziejki", „Przedwiośnia" i „Małej Konwalijki"!

„Latorośl Kaszubską" proszę, aby skrobnął do mnie liścik.

„Wirrycie" — zaciekawiła mnie Twoja nowelka „Depesza".

P. J. Baranowski, czy mógłbym prosić o choćby maleńki wierszyk?

O to samo proszę p. Tadeusza Rawickiego.

Pozdrawiam całą „Krainę" i proszę o pamięć dla „Smutnej Iwonki".

DZIĘKUJĘ!

„Ciemnooka Blondynka". Dziękuję za nadesłanie adresu. List przesłałam. Adresu oczywiście nikomu nie wyjawię.

Również dziękuję serdecznie za słowa pozdrowień i ślę wzajemne.

„Krainiakom" w imieniu Pani przesyłam pozdrowienia i uśmiechy.

ODPOWIADAM NA PYTANIA

„Tu — Alek". Dziękuję Panu za te wszystkie słowa uznania, lecz muszę wtrącić, że do kobiety ideału jest mi jeszcze bardzo, bardzo daleko! Nie chcę Panu sprawić przykrości stwierdzeniem, że stanowczo przecenia mnie Pan. Mniejsza z tym! Chcę odpowiedzieć na szereg pytań, które mi Pan zadał. I tak, powieść omawiana pociągnie się jeszcze dość długo. Listów mam masy zaległych i będę musiała zacząć się znowu streszczać, bo inaczej będą „Krainiacy" musieli czekać dłużej jeszcze na odpowiedź niż Pan ostatnio.

Życzy Pan sobie również ujrzeć Wujka Janusza na fotografii? Myślę, że to będzie trudno, gdyż Wujek ani chce słyszeć nie tylko o umieszczeniu swej podobizny, ale i o ankiecie między „Krainiakami" na ten temat. Będzie chyba trzeba zostawić go w spokoju.

Listy Pana dosłałam. Sądzę, że wzajemna korespondencja daje zadowolenie. Życzę Panu tego i pozdrawiam uściskiem dłoni!

DLACZEGO?

„Wandzia z B". Wierszyki powierzyłam Wujkowi Januszowi. Nie rozumiem o jakie numery „Moich Powieści" Pani chodzi — proszę o bliższe informacje.

Za miłe pozdrowienia — całuję buzię. Acha! jeszcze coś dla „Gladiatora" od P. „Wandzi":

„Gladiatorze", dla czego w „Krainie" jest tak mało Twoich wierszy? Są prześliczne, czytam je po kilka razy"...

PISZ TERAZ CZĘŚCIEJ

„Jazzir". Z listu Twego, Mały Urwisie, promieniuje jakieś ciepło i przedziwna pogoda. Skąd jej się tyle u Ciebie bierze?! Na fotografię ogromnie się cieszę! I już naprzód zapytuję, czy mogę ją zamieścić w „Krainie"? Co do listów, ani myślę się gniewać na Ciebie, wystarczy bowiem, że napisałaś, że nie zapomniałaś o mnie. Tylko... teraz pisz częściej i tak, jak dotychczas miło i pogodnie. Zgadzasz się na to, prawda? Komunikat zamieszczam:

„Panu Stanisławowi R. z Sadlna" przesyłam miłe pozdrowienia. Równocześnie zapytuję go, gdzie przesłać fotografię? Pisałam, lecz odpowiedzi nie było. Sądzę, że domyśla się Pan kim jestem?".

Teczka Wujka Janusza

WIERSZYK DOBRY

„Wandzia z B". Bardzo miły jest ten Pani wierszyk — „Powrócisz do mnie"... Proszę pamiętać nadal o mnie i przyjąć ode mnie silny uścisk dłoni!

POWRÓCISZ DO MNIE...

Kiedy zaszumią pszeniczne łany,
Promienną wiosną zapachnie świat,
Wiem, że powrócisz, o ukochany,
Powrócisz wiosną, jak wraca ptak.
Powrócisz do mnie w ciche ustronie,
Nad srebrny strumyk, gdzie szumi las,
By znów przytulić me białe dłonie,
Do swego serca, w którym żal już zgasł...

„Wandzia z B."

SŁABA TECHNIKA

„Paproć Pom." W wierszach moc uczucia, ale zbyt mało opanowania technicznego. Miejscami razi rytm i styl. Trzeba dużo czytać, aby pojąć trudną technikę wierszowania i należycie ją opanować. Serdecznie pozdrawiam!

ZWRACAM UWAGĘ...

„Skośnooka Lola". Przesyłam Pani bardzo miły uścisk dłoni i zwracam Pani uwagę na odpowiedź daną P. Bolesławowi R.

WARTO POPRACOWAĆ!

P. Bolesław R. Zaciekawiły mnie wiersze Pana. Jest w nich dużo uczucia, oryginalnych zwrotów i dobry rytm. To już dużo! To daje rękojmię, że kiedyś będzie Pan pisał zupełnie dobre wiersze. Co obecnie mogę zarzucić Pańskim utworom, to brak zwartej treści i miejscami mało poprawny styl. Te niedociągnienia jednak można łatwo usunąć, przy dobrych chęciach i pewnym nakładzie pracy. Ucieszę się ogromnie, gdy nie cofnie się Pan przed trudem, podejmie go i konsekwentnie pokona. Łączę bardzo miłe pozdrowienia!

CZY DOBRZE?

„Maleńka Dzidzi". Najmilsza „Dzikusko"! Postąpiła Pani ze mną tak samo, jak ten człowiek, który pokazał dziecku kolorowe cacko i zaraz je schował do kieszeni. Dziecko po tym fakcie rozpłakało się, a ja, ponieważ jestem już dojrzałym mężczyzną — zdenerwowałem się tylko. Och, „Dzidzi"! Tak nie można! Niech małe paluszki „skrobią" zawsze uważne słówka i takie, aby nie sprawiały nikomu zawodu. Czy dobrze? Czy mała „Dzikuska" przyrzeka mi to?

„Fotografie zwróciłem. Bardzo miłe. „Maleńka Dzidzi" na nich urocza!

WIERZĘ

„Królowa Gizella". Dziękuję Pani za pamięć, Gizello, wzruszony nią jestem. Cieszę się również, że słowa moje przyczyniają się do złagodzenia smutku Pani. Wierzę, że szybko już napiszesz mi, iż wyzbyłaś się wszelkich smutków, a nauczyłaś się mieć i na ustach i w duszy uśmiech. Pozdrawiam bardzo serdecznie.

PROSZĘ PAMIĘTAĆ!

„Przedwiośnie". Droga Sympatyczko! — Wdzięczny Ci jestem za ostatnią przesyłkę. Wiersz Kasprowicza — bardzo ładny i głęboki, wrażenia Pani, po przeczytaniu tylu książek, interesujące, a końcowa wiadomość listu — niezrównana, trudno więc nie być zadowolonym i wdzięcznym za tyle przyjemności, prawda?

Dotychczas nie napisała mi Pani nic konkretnego, jakie ma zamiary na przyszłość, wzgl. czy stare zamiary ma Pani ochotę zrealizować. Ogromnie chciałbym dowiedzieć się coś o tym? — proszę, niech Pani o tym pamięta, pisząc do mnie list.

Na zakończenie ściskam Pani rączki i ślę przyjazny uśmiech.

CZYŻBY?...

„Blanka". Jakże może Pani pytać — „czy warto pisać dalej?" — skoro ma już poza sobą pokaźny zbiorek wdzięcznych wierszyków?! Oj, „Blanko", coś mi się wydaje, że ma Pani ochotę urządzić sobie miłe „dolce far niente", jeżeli chodzi o pisanie wierszyków i kto wie... czy i listów do nieznośnego zrzędy — Wujka Janusza!?... Jestem zaniepokojony, więc trzeba będzie, Miła „Blanko", jak najprędzej rozproszyć moje obawy.

Z nadesłanych utworków przeznaczyłem do druku — „Gdzieś ty?"... W wierszu tym jest dużo uczucia, tak, że przy czytaniu mimowoli drga w duszy jakaś najserdeczniejsza struna z obawy przed tym, aby ktoś obcy nie zabrał tego, co jest święte i własne. Ciekawy jestem, czy wierszyk ten nasunie Czytelnikom podobne refleksje?

GDZIEŚ TY?...

Gdzie jesteś ty,
Gdzie myśli błądzą Twe?
Serce me — drży
I w strzępy ból je rwie...

Gdzie jesteś ty,
Gdzie w ciemną błądzisz noc?—
Tak pieką łzy,
A usta szepcą: wróć...

Gdzie jesteś ty?...
W pobliżu szumi park,
Czy mi się śni,
Żeś upił się krwią warg,
Czerwienią innych warg?...

„Blanka".

Kilka słów „Blanki" dla Sympatyków: „PP. Halinie Turkównie, oraz J. Płóciennikowi uznanie za piękne wiersze. „Mała Mery" raz jeszcze apeluję — zapomniałaś?! I Ty, Aniu, czemu milczysz? „Czarny Hajduczku" — mój Złoty Promyku, dziękuję za śliczne tango przesłane mi w koncercie życzeń. Spotkamy się wkrótce Maleńka — to... Cię uściskam. Dumce" dziękuję za serce i pamięć, oraz za pozdrowienie ze Lwowa.

Na koniec mam prośbę do kilku Sympatyczek, a mianowicie: „Samotna Włościanko", „Samiuteńka", „Wiochna 13", „Czarnooka Blondynko" i „Smutna Irutko" — napiszcie do mnie, a zrewanżuję się pogodnym listem, no i ładnym zdjęciem. Może warto, gdyż nie jestem już smutną. Wujek Janusz może potwierdzić. — A więc czekam, Dziewczynki! która będzie pierwsza, tej prześlę wierszyk".

CZYŻBY PLAGIATY?

„Dziewczę z ludu". Pani Zofia przekazała do mej Teczki dwa wierszyki: „Babie lato" i „Jesień". podpisane pseudonimem „Dziewczę z ludu". Wierszyki te są bardzo ładne i gładkie, tylko... chyba nie są samodzielnymi utworami „Dziewczynki z ludu"? Proszę o kilka słów wyjaśnienia!

Raj kobiet

Prosta robotnica najlepszą żoną

Wydział społecznej organizacji na uniwersytecie Cornell, przeprowadził badanie co do przeszłości żony w t. zw. szczęśliwych stadłach małżeńskich i teraz daje kandydatom na mężów radę, że jeśli chcą mieć szczęśliwe pożycie, jeśli chcą mieć dobrą żonę i dobrą gospodynię, niech się żenią z taką dziewczyną, która pracuje na swe utrzymanie, jako robotnica. Na drugiem miejscu po nich są takie, które prowadzą własny dom i takie, które się zajmują sprawami społecznymi w swojej miejscowości lub dzielnicy.

Najlichszą kandydatką na żonę jest taka dziewczyna, ktora po ukończeniu szkoły siedzi w domu u rodziców i nie ma na głowie żadnej odpowiedzialności, bo „tatuś pracuje" więc mamusia jej wszystko za tatusiowe pieniądze kupi.

Idealna kuchnia

Organizacje gospodyń wiejskich w Kopenhadze zorganizowały w początkach września interesującą wystawę techniki kuchennej. W sali „Dworu Duńskiego" w Kopehadze wystawiony został liczny sprzęt, wchodzący w zakres codziennej użyteczności domowej. Między innymi na wystawie znajdują się nowoczesne urządzenia które przeobraziły kuchnię w prawdziwy salon elektryczności. Wśród licznych grzejników, naczyń oraz piecyków elektrycznych, wyróżniają się imponujące grzałki. Dzięki zastosowaniu tych grzałek w przeciągu 10 do 15 minut można przygotować 3-daniowy obiad. Oryginalnie pomyślany i wykonany sprzęt wzbudza wśród widzów znaczne zainteresowanie.

Zbiorowy protest kobiet tureckich

Rada miejska m. Brousse, miasta, które uważano dotąd za ostatnią twierdzę konserwatyzmu w Turcji, wydała dekret w sprawie zniesienia dotychczasowych tradycyjnych szat kobiet muzułmańskich. Na niewiasty, które sprzeciwiały się temu dekretowi, nałożono wysokie kary. Aby zaprotestować przeciwko temu stanowi rzeczy, które kobiety z Brousse uważają za zamach na ich wolność osobistą, postanowiły one, wykraczając przciwko zakazowi władz miejskich, wyjść masowo na ulicę, odziane na starą modłę, by zbiorowo w ten sposób narazić się na przewidzianą karę na znak solidarności. Te kobiety, które nie czekając nawet na dekret Rady miejskiej same zrzuciły muzułmańskie szaty i przywdziały strój europejski, tym razem przyłączyły się do kobiet organizujących masowy protest przeciwko europeizacji stroju.

Czy wiecie, że...

W pewnym małym miasteczku holenderskim kobiety znalazły wyborny sposób leczenia pijaństwa, który ten sposób aprobowała gmina. Oto gdy policjant zobaczy na ulicy pijaka, woła dorożkę i odwozi go do biura policyjnego. Tu ratunek niesie mu lekarz, po czym znowu dorożką pijak odwożony bywa do domu. Nazajutrz koszta jazdy i kuracji musi płacić restaurator czy szynkarz, u którego dane indywiduum upiło się. Od chwili wejścia w życie tego rozporządzenia policyjnego liczba pijaków w owym miasteczku holenderskim zmniejszyła się znacznie.

—o—

Według statystyki jednego z pism kobiecych, istnieje obecnie w Polsce 135 adwokatek. Cyfra ta jest tym bardziej zdumiewająca, że dopiero w roku 1935 pierwsza kobieta zgłosiła podanie o zezwolenie na otwarcie kancelarii adwokackiej. Natomiast w administracji władz i w zawodzie sędziowskim pracują w Polsce kobiety prawniczki od roku 1929.

—o—

„Kocham cię" powiedziane w 2,816 językach. Oryginalny dar złożył swojej żonie w trzecią rocznicę ślubu paryski lingwista Mated. Oto wypisał on słowa „kocham cię" ni mniej ni więcej, tylko w 2,816 językach i przeróżnych dialektach i osobliwą tę deklarację miłosną ofiarował swej małżonce dla upamiętnienia trzech lat wspólnego ich pożycia.

—o—

Stanowy sąd najwyższy w Albanii N. I. unieważnił wyrok sądu niższej instancji w Yonkers i wydał decyzję, że paradowanie publiczne kobiet w sportowych spodenkach, jako nie obrażające w niczym moralnych uczuć społeczeństwa, jest legalne.

Tym samym skasowany został wyrok, wydany na dwie kobiety w Yonkers, które za występowanie w podobnym stroju na ulicach miasta Yonkers pociągnięte zostały do karnej odpowiedzialności.

—o—

Dyrekcje teatrów węgierskich zabroniły swoim artystkom wykonywania różnych robótek ręcznych, którymi panie te skracały sobie niejednokrotnie czas podczas przedstawienia, gdy nie występując w danej chwili na scenie, przebywały za kulisami. Zakaz ów spowodowany został tym, iż zdarzyło się nie raz, że artystka, pochłonięta robieniem na drutach jakiegoś swetra, czy szydełkowaniem szaliczka, nie zwracała uwagi na znak inspicjenta i spóźniała się z wejściem na scenę, narażając przez to na szwank tempo gry danego spektaklu.

—o—

Tak twierdzi pewien lekarz amerykański, który po wieloletnich obserwacjach doszedł do wniosku, że wprawdzie daleko więcej mężczyzn niż kobiet nosi okulary, tym niemniej jednak większość kobiet jest krótkowzroczna. Jeśli mimo to znacznie mniej kobiet nosi okulary, pochodzi to stąd, że kobieta, bardziej dzięki hołdująca modzie, niechętnie posługuje się okularami, które, jak twierdzi większość kobiet, nadają im starszy wygląd.

Świat i życie

Szlachetne drzewa Brazylii

Jak wiadomo, Brazylia jest poprostu skarbnicą szlachetnych metali, szlachetnych kamieni i szlachetnego drzewa.

Metale i kamienie, badane i poszukiwane od wieków, mimo swej wielkiej ceny, są — jeśli tak powiedzieć można — bardzo spopularyzowane, natomiast szlachetne drzewa znają tylko botanicy, dawni budowniczowie okrętów, rzeź-





„My zdobyłyśmy engagement na tancerki!" Niedawno jeden z największych berlińskich teatrów rewiowych ogłosił zapotrzebowanie na tancerki. Zgłosiło się dużo entuzjastek tańca, lecz z próby (lewo) wyszły zwycięsko tylko te cztery roześmiane, szczęśliwe panienki.

biarze i niektórzy stolarze. Bogactwo złóż złota i diamentów brazylijskich są znane, choć jeszcze wiele z nich nie zostało odkrytych, natomiast bogactwo drzew jest tak wielkie, że — jak twierdzą uczeni botanicy — w puszczach Brazylii są jeszcze wielkie ilości drzew szlachetnych w ogóle nieznanych;

Bogactwo leśne Brazylii jest jak dotąd bardzo często, a nawet po większej części marnowane. Eksport szlachetnego drzewa wprawdzie rośnie z roku na rok, ale jeszcze gospodarka leśna Brazylii nie jest i przez długie lata nie będzie należycie zorganizowana. Milionowe wartości idą po dziś dzień z dymem, gdyż olbrzymia większość rolników - osadników, trzebi puszczę dla uzyskania ziemi pod rolę przez t. zw. „rosowanie" tj. palenie lasu i karczowanie. Praca oświatowa Ministerstwa Rolnictwa, zakładanie szkół rolniczych i akcja prasowa nie mogą dać jeszcze doraźnie dodatnich wyników, gdyż niesłychanie trudno jest wytrzebić zwyczaj palenia lasów, uprawiany od 400 lat.

Z drzew szlachetnych posiada Brazylia wysokolistną sosnę, zwaną tu Pinho de Para, która jeszcze dziś znajduje szerokie zastosowanie w budownictwie betonowym. Do wyrobu mebli używa się drzewa piniorowego, wykładanego szlachetnym fornirem. Poza tym, kogo na to stać, może sobie zrobić meble ze szlachetnych gatunków drzew, jakich jest wiele w puszczy brazylijskiej, a których trwałość obliczana jest na setki lat. Wprawdzie czasy, kiedy budowano całe miasta z drzew takich, jak Jacaranda, Cabluna i in., już minęły, ale jednak z biegiem czasu doszli znawcy do przekonania, że drzewa te są trwalsze niż żelazo, a mrówki — straszny wróg wszelkiego drzewa — tych gatunków się nie chwytają. Słoje tych drzew pozostają nienaruszone i bez żadnych zmian i po 300 latach. Obydwa te gatunki należą do rodziny strączkowatych i mają niesłychanie liczne „pokrewieństwa" pod ogólną nazwą drzew brazylijskich znaną od setek lat w całym świecie; Poza owymi „strączkowatymi", lasy brazylijskie posiadają szlachetne drzewa z gatunków cedrowych, jeszcze przez botaników nawet nieskwalifikowanych.

Ze świata

Przykład jest zaraźliwy

Czy 19-letnia Nadia Włucowa, córka emigranta rosyjskiego z Odessy, została małżonką sułtana Dżokżakartskiego, noszącego niełatwo do wymówienia imię Pakoe Alam Soerżodilogo? Dżokzakarta jest to państwo na wyspie Jawie. Liczy 15 milionów mieszkańców.

Jej sułatan nie może jednak powiedzieć — jak kiedyś cesarz niemiecki — że nie boi się nikogo prócz Boga. Egzotyczny monarcha jest bowiem wasalem Holandii i to krępuje go tak bardzo, że... nawet nie może się teraz ożenić bez pozwolenia królowej holenderskiej.

A rząd holenderski waha się i nie wiadomo, czy zgodzi się na ślub władcy dalekiej krainy z młodą Europejką. Wprawdzie chodziły wieści, że sułtan uzyskał już upragnione zezwolenie, ale wnet im zaprzeczono.

Miejmy nadzieję, że ostatecznie wszystko dobrze się skończy. Tu jednak powstaje pytanie, czy jeżeli wreszcie panna Nadia zasiądzie na tronie państwa jawańskiego, będzie to dobrym końcem, a nie — początkiem smutnych wypadków. Co do tego właśnie rząd holenderski ma wątpliwości i dlatego sułtan Pakoe Alam będzie może musiał pójść za przykładem byłego króla angielskiego.

Czego boi się rząd holenderski? Przede wszystkim obawia się, że małżeństwo sułtana z Europejką wywoła niezadowolenie wśród tubylców, którzy może nie ograniczą się tylko na szemraniu.

Ponadto idzie o samą pannę Nadię. Być sułtanką — to pięknie brzmi, ale nie wszystko złoto co świeci.

Kto wie, co się stanie, jeżeli piękna Rosjanka zjawi się w pałacu sułtańskim jako — nie jedyna. Sułtan jest mahometaninem. Może mieć cztery żony i tyle nałożnic, ile zechce. Już ma i jedne i drugie. Nie trudno wyobrazić sobie, jakby przyjęły cudzoziemkę, wyniesioną ponad nie i obdarzoną tytułem sułtanki, które im nie przysługuje.

Zresztą nie jesteśmy pod tym względem zdani na domysły.

Zdarzało się już, iż książęta jawańscy poślubiali cudzoziemki. I wiadomo, że niejedna z tych pozornych wybranek losu zginęła — otruta. Podczas posiłków, które wszystkie żony spożywają razem, nie trudno jest wlać kilka kropel trucizny do kielicha.

Dodajmy, że według tamtejszego prawa małżeńskiego każda nałożnica, która rodzi dziecko musi być podniesiona do godności małżonki. A ponieważ wolno mieć tylko cztery prawowite żony, więc powstają komplikacje, które również często doprowadzają do tragedii.

Panna Nadia kocha swojego dostojnego narzeczonego. Ale widziała go dotychczas tylko w Europie, gdzie jako człowiek rozsądny, niewątpliwie pamięta o przysłowiu: „kiedy wleziesz między wrony..."

Nie wiadomo, czy jej samej nie przychodzi czasem do głowy, że lepiej być zwykłą śmiertelniczką w Europie niż sułtanką na Jawie, tym bardziej, że nawet po złożeniu korony, sułtan pozostanie bardzo dobrą partią: nie straci przecież ogromnego majątku.

A sułtan, jak słychać, powziął już stanowczą decyzję: nie złoży miłości w ofierze na ołtarzu polityki. Jeżeli nie będzie mógł wprowadzić swei ukochanej na tron, to — zrzeknie się tronu. Woli panować nad jednym sercem niż nad 15 milionami.

Przykład byłego króla Edwarda jest zaraźliwy.

ADAM CZEKALSKI

Pojedynek

NOWELA

Meksykańska muzyka wprost łkała jedną z tych przepięknych melodyj tanga, które tylko meksykańczycy grać potrafią. Pary kręciły się po kwadratowym parkiecie, wykonywując ewolucje, o jakich ludziom z Europy się nie śniło. W gronie tańczących kręcił się Meksykańczyk z dwoma nożami w ręku, sam jeden, który raczej przeszkadzał innym w zabawie, niż się bawił. W końcu, sam snać uznawszy swoją bezpotrzebność na parkiecie, opuścił kwadrat taneczny i zbliżył się do jednego ze stolików, przy którym siedział nad „bombą" piwa młody człowiek. Był to mężczyzna lat najwyżej dwudziestu pięciu, ubrany w szaty, jakich w tej tawernie nikt prawie nie nosił. Już na odległości wyczuwało się w nim człowieka z wybrzeża.

Pijany Meksykańczyk, zbliżywszy się do jego stolika, uderzył jednym z noży w blat stołu z taką mocą, że wbił go prawie do połowy, a następnie szarpnął gwałtownie, próbując wyjąć i przy tej okazji przewrócił kufel z piwem nieznajomego brzegowca.

Młody człowiek powstał nagle z błyskiem gniewu w oczach.

— Senor — wyrzekł poważnie. — Zachowałeś się tak niegodziwie, iż się dziwię, że wszyscy ci ludzie tutaj tolerują cię dotąd.

Meksykańczyk zaniemówił od zdziwienia. Pierwszy to raz zdarzyło się, że ktoś i to w dodatku człowiek obcy, „gringo"*) z wybrzeża, ośmielił się obrazić na niego, — na niego, głośnego na pograniczu Gacę Morena, szefa przemytników i zbója nad zbóje.

Podsunął się tedy jeszcze bliżej do nieznajomego i spytał z uśmiechem:

— A kawalerowi to się nie podoba?

— Wcale.

— To może kawaler zechciałby się ze mną spróbować?

Oczy wszystkich zgromadzonych w tawernie ludzi zwróciły się teraz na tych dwóch rozmawiających z sobą ludzi. Niektórzy, czując tutai mord, wynosili się cichaczem, aby nie być świadkiem bestialstwo sławnego Garcia. Inni natomiast, zbliżywszy się do powaśnionych podjudzali jeszcze Morenę przeciwko przybyszowi.

— Jakże więc? Chcesz się spróbować z Moreną, gringusiu? — powtórzył znowu zbój, dobywając jednocześnie rewolwer z olstra, wiszącego mu na prawym biodrze.

— Owszem. Ale pragnę walczyć na sposób kulturalny, w regularnym pojedynku — odparł młodzieniec. — Jeżeli chcesz w ten sposób spotkać się ze mną, najchętniej ci służę choćby zaraz.

— Dobrze. Rozejdzmy się na odległość stu kroków i następnie będziemy zbliżać się do siebie na czworakach. Kto pierwszy przeciwnika zobaczy i strzeli, — trafiając do celu — ten ogłoszony zostanie zwycięzcą.

Młody człowiek znał ten sposób pojedynkowania się, używany nader często w Meksyku. Zgodził się chętnie, wprawiając tym w zdumienie wszystkich obecnych, gdyż Garcia uchodził za niezwyciężonego w podobnej walce przeciwnika.

— Zanim jednak wyjdziemy na pole — odezwał się znowu nieznajomy — pozwolisz, senor, że załatwię pewną formalność na wypadek mojej śmierci.

Po tych słowach młodzieniec podszedł do lady karczemnej i zwrócił się do gospodarza.

— Hallo, senor — rzekł. — Jestem Jan Szafraniec, technik z Vera Cruz, przysłany tutaj do naprawy elektrowni. Gdybym zginął w pojedynku, odeślesz moje rzeczy do Magistratu i zaświadczysz, że zginąłem w formalnej walce.

— Bon, senor.

Przeciwnicy wyszli przed ventę**), na ogromny plac, zarosły wysokimi trawami i chwastami. Znaleźli się zaraz sekundanci, ustawili przeciwników w trawach i usunęli się na bok. Na dany znak, obaj pojedynkowicze padli w trawy i zniknęli w nich.

Mijały dugie minuty, jak wieczność. Młody Polak, zachowując wszelkie środki ostrożności, czujny, jak leśny zwierz, pełzał szybko naprzeciw Garci, który ze swej strony powinien był podobnie postępować.

Szarfaniec przepełzał już prawie całą przestrzeń stumetrową, ale najlżejsze szelest niezdradzał drogi jego przeciwnika. W końcu, rozumiejąc, że znajduje się już na miejscu, z którego powinien był wyjść Morena, zatrzymał się, nasłuchując, w końcu powstał. Garcii nigdzie nie dojrzy. Postąpił jeszcze parę kroków przed siebie i tutaj dopiero natknął się na zbója. Leżał on nieruchomo w trawie, w tym samym miejscu, gdzie ustawili go sekundanci.

Polak przywołał świadków tego niezwykłego pojedynku i wskazał im Garcię.

— Cóż to znaczy? — spytał. — Ten człowiek nie żyje.

Jeden z sekundantów obejrzał Morenę i dostrzegł na prawym jego obandażowanym ramieniu małą rankę. Wtedy podniósł się i rzekł:

— Ten człowiek umarł od ukąszenia żmii. Już on więcej nie wstanie.

— Czy możliwe?

— Jad tej żmii zabił go prawie natychmiast — dodał jeszcze w formie objaśnienia informator i nakazał zabrać Morenę do szopy tawerny.

KONIEC

*) pogardliwa nazwa dawana Europejczykom.
**) venta = karczma.

HUMOR



Polowanie na wróbla...

mi? Czyż nie dość im, że je mają? Czyżby mieli zamiar użyć ich dla siebie tylko, z dala od zaślubionych żon, a żony pozostawić bez centa na bruku?

Niewymowna, ale wcale usprawiedliwiona gorycz napełniała serce pani Inez, a zarazem owładnął nią gniew przeciwko małżonkowi, który się zdemaskował jako nieczny łotr i szubrawiec.

To też, gdy wróciła do swoich, nie taiła swoich uczuć i zawołała z rozpaczliwym gniewem:

— Jesteśmy w niesłychany sposób okłamane i oszukane!

— Co ty mówisz!?

— Boże święty, to nie może być!

Pani Snob i Mr. Waker wrzeszczały tak, że aż ochrypły.

Inez bez iskry litości patrzyła na ich przerażenie.

— A więc słuchajcie! — rzekła, nie oszczędzając ich wcale, jak gdyby się spodziewała, że boleść, którą im sprawi, ulży jej samej. — Tulliwera ani Wakera nie ma w Saint - Honoré i nigdy ich tu nie było. Nieprawda, żeby tu, i w ogóle w całym dyskrykcie Charolais planowano nowe kopalnie. Powtarzam więc — jesteśmy w niesłychany sposób okłamane i oszukane. A gdzie nasi mężulkowie z naszymi pieniędzmi, które od nas wyłudzili? Gdzie oni się ukrywają?

— Boże święty! kto by był pomyślał! — wrzasnęła Fidez. — O! że też Wilfred mógł mnie tak okłamać!

Głos jej zamarł wśród szlochania.

— A to złodzieje przeklęte! — zawołała pani Snob, pieniąc się z wściekłości, a słowa te tym dziwniej brzmiały w jej ustach, że ona właśnie najbardziej była dumna z tego, że ma takich arystokratycznych zięciów, — na policji trzeba dać znać! Ale to natychmiast, nie tracąc czasu! Uciekli ze wszystkimi pieniędzmi, — znikli jak kamfora! Ale może jeszcze coś się da uratować! Może ich się jeszcze uda złapać!

Ale Inez nie dopuściła do wykonania tego zamiaru, który się matce nasunął.

— Co mama mówi? — zawołała oburzona — czy mama chce się sama zniszczyć! Rodzone córki kompromitować, oskarżając zięciów o oszustwo!? A zresztą, czy mama sądzi, że to dobrze będzie i mądrze, na zawsze się poróżnić i nieprzyjaciółmi sobie zrobić tak potężne rody, jak Bogshoot i Sommersetshire?

To nie byłoby mądre! Raczej udajmy się teraz natychmiast do krewnych naszych mężów. Niech mama sobie przypomni, jaki książę był serdeczny i uprzejmy. On z pewnością bez wahania stanie po mojej stronie i zmusi Jamesa, żeby zrobił to, co do niego należy.

— Ale pytanie, czy on go zmusi do tego, żeby mi zwrócił pieniądze? — zapytała pani Snob już trochę uspokojona.

— Naturalnie — zapewniła Inez — a jeśli nie, to nam sam zwróci! Taki wielki pan nie będzie żałował, gdy będzie chodzić o to, żeby uratować honor familii.

W czasie tej rozmowy Fidez bez ustanku zalewała się rzewnymi łzami.

— A co ja mam zrobić? — spytała teraz.

— Ty, to samo, co ja — odpowiedziała pani Tulliwer — udaj się do krewnych twego męża. Twoim naturalnym opiekunem jest teraz hrabia Bogskoot, tak, jak moim książę Sommersetshire. Teraz jest obowiązkiem ojców naszych mężów, zarządzić poszukiwania za nimi, gdy znikli, a na ten czas dopóki James i Wilfred nie wrócą do nas, muszą oni nas wziąć w opiekę.

Pani Snob plan ten bardzo się podobał.

— Masz rację — rzekła — wasi arystokratyczni teściowie, to teraz cała nasza nadzieja — ostatnia deska ratunku. Musimy natychmiast pojechać do Anglii i wytoczyć nasze pretensje do księcia Sommersetshire i hrabiego Bogshoot.

— Tak jest, zróbmy to! — zawołała wśród łez Fidez.

Oszukane damy wykonały ten plan.

Inez i Fidez musiały znowu kilka klejnotów ze swych kosztowności odsprzedać, żeby się zaopatrzyć w pieniądze potrzebne na podróż.

Zaraz potem wybrały się do Anglii.

Cała nadzieja opuszczonych żon polegała na odnalezieniu dostojnych teściów.

Czy i ta nadzieja ich nie zawiedzie?

ROZDZIAŁ CCXIII

Jutro będzie wesoło

Wróćmy do Józefa.

Prowadził on tymczasem tak wesołe życie, że szanowny czytelnik nie będzie niezadowolony z odwiedzin u niego.

Zacny ten mąż uciekł, jak sobie przypominamy — z pieniędzmi rudej Maryni.

Na dworcu kupił sobie bilet jazdy koleją do Frankfurtu nad Odrą.

To miasto nieduże, pomyślał sobie — więc Marynia nie wpadnie na to, żeby mnie tam szukać. Prędzej będzie przypuszczała, że jestem gdzieś w którejś stolicy. A nie jest to także znowu taka mała mieścina, żebym się tam miał nudzić.

Rozsiadł się wygodnie w przedziale wagonu i pomacał się, czy ma swój pakiecik w kamizelce, potem ten od Maryni pod koszulą. Przekonawszy się, że ich nie zgubił, rozparł się w siedzeniu jeszcze swobodniej i wesoło mruczał pod nosem.

Mniej więcej — myślał sobie — mam majątek z dziesięć tysięcy guldenów. Za te ładne pieniążki można sobie pożyć wesoło dobrych kilka miesięcy.

We Frankfurcie nad Odrą kazał się dorożkarzowi zawieźć do trzeciorzędnego hotelu, gdyż nie lubił bywać w pierwszorzędnych, w których czuł się zanadto skrępowany.

Ale tu pod „Siwym wołem" znalazł zaraz towarzystwo godne siebie.

Mimo, że było jeszcze bardzo wcześnie, kazał podać sutą zastawę i podjadł sobie, potem kazał się zaprowadzić do swego pokoju, ażeby się trochę przespać.

Rozbierając się, wyjął paczkę skradzioną Maryni i otworzył ją.

Z przyjemnością przypatrywał się tym pięknym papierom wartościowym, a potem zaczął liczyć.

— Siedem tysięcy! — zawołał zdumiony — ależ to mnie dopiero chciała oszukać przy podziale ta ruda małpa. To sobie wzięła siedem tysięcy, a mnie dała tylko pięć. O całe dwa tysiące mnie oszwabiła! Ale że ja się dałem tak wziąć na kawał? No, chwała Bogu, że odebrałem sobie ten mój rzetelnie zarobiony majątek. Ciekaw jestem, jaką ona tam zrobiła minę, gdy się spostrzegła!

Zdjął kamizelkę i chcąc pieniądze w niej zaszyte wyjąć i złożyć do tamtych, zaczął ją pruć.

Podczas gdy niezgrabnymi palcami majstrował koło podszewki, wzrok jego padł na wzór kamizelki.

Zmarszczył brwi.

— A to co — zawołał, uderzając się dłonią w czoło, czy pijany, czy zaspany? Przecież to nie ta sama kamizelka, którą miałem na sobie w Berlinie! Pieniądze zaszyłem sobie do tej gładkiej kamizelki, a ta jest w drobne kratki!? Czy ja jestem zaczarowany, czy co?

Tknięty przeczuciem oderwał nagłym, gorączkowym ruchem podszewkę i wyjął papiery, które tam były zaszyte.

Z okrzykiem wściekłości zerwał się na równe nogi.

Były tam stare szpargały i Bóg wie co jeszcze, ale pieniędzy jego nie było.

Zacisnął pięści, zgrzytnął zębami i latał po pokoju jak wariat, potem jeszcze raz przeszukał swoją kamizelkę, jeszcze raz o-



W Berlinie nakręca się nowy wielki film p. t. „Księżniczka cygańska", w którym tytułową rolę gra Anabella.



Fragment z obchodu pięćdziesięciolecia targu rybnego w Hamburgu.

brócił na wszystkie strony papiery, które w niej znalazł — ale pieniądze się nie znalazły.

— A to jędza! — zawołał — to ona mi ukradła moje pieniądze! Obrabowała mnie! No, ale przynajmniej się zrewanżowałem!

Uspakajał się powoli.

Jeszcze ja na tym zrobiłem lepszy interes — pomyślał sobie.

Ale jak ona się do tego zabrała? — dziwił się — chytra jucha.

Podziwiał jej chytrość, tak, że prawie zapomniał o swym gniewie, zwłaszcza, że łamał sobie głowę i nie mógł wpaść na to, kiedy to i przy jakiej sposobności spłatała mu tego figla.

Znużony podróżą, chciał się wreszcie położyć spać.

Z przyzwyczajenia zamknął drzwi na klucz i pieniądze schował pod poduszkę, chociaż już nie potrzebował się obawiać podstępu kochanki!

Zasypiając, mruczał jeszcze:

— Ale chytra szelma, ta Marynka!

Gdy się obudził, było już późno po południu.

Zabrał swoje pieniądze i zeszedł do izby gospodniej.

Było tam prawie pusto, tak, że niebrzydka kelnerka była całkiem na jego usługi.

— Słuchajno, mała — rzekł do niej, udając don Juana — co tu u was można dostać dobrego do zjedzenia!?

— Świnina z kluskami i z kapustą! — odpowiedziała rezolutna dziewczyna, która nie okazywała wcale dziewiczej nieśmiałości — kiełbasa smażona z sosem i gularz z sałatą kartoflaną. Porcja każda kosztuje sześć fenigów.

— A całusa od ciebie, moja słodka — spytał czule Józef — można dostać?

— Czemu nie? — odpowiedziała spokojnie — ale za talara.

— Nie więcej? — zapytał elegancki młodzian i wyciągnął z kieszeni trzy marki.

Włożył jej te pieniądze do ręki, którą ona wyciągnęła wcale chętnie i pocałował ją kilka razy w policzek, mlaskając głośno.

— No, no, powoli! — rzekła dziewczyna bez najmniejszego gniewu — nie tak ostro. Za jednego pan zapłacił, a bierze pan pół tuzina. Ten raz jeszcze panu daruję, za to, że pan nie jaki bądź i umie się z damami obchodzić!

Schowała pieniądze przezornie do kieszeni i zapytała:

— A co pan właściwie chce jeść?

— Porcja świniny nie zaszkodziła by — odpowiedział Józef po chwili namysłu. A może ty byś zjadła ze mną, co? — jak ty się nazywasz?

— Ja? Karolina — odpowiedziała dziewczyna — ale jeść nie chcę, bo jadłam teraz kolację w kuchni. Później jak goście się schodzą, to nie mam czasu. Ale jeżeli panu na tym zależy, to mogę się z panem napić. Piwa nie, bo tego mam dość, tylko wina, bo tego to już dawno nie piłam.

— Zgoda! — zawołał Józef — a jakiego chcesz, białego, czy czerwonego?

— Czerwonego — odpowiedziała dziewczyna bez niepotrzebnych ceremonii — najlepszego, co? — zapytała.

— Naturalnie! — odpowiedział hojny kawaler — dwie flaszki.

Dziewczyna uradowana pobiegła, by wypełnić rozkaz i wróciła zaraz.

Przyniosła talerz gorącej wieprzowiny z kluskami i kapustą, a potem poszła po wino i szklanki.

Wróciwszy z tym, otworzyła zręcznie korkociągiem flaszkę i popatrzyła znacząco na Józefa.

On zrozumiał, nalał dwa kieliszki i chwyciwszy jeden zawołał:

— Twoje zdrowie, Karolinko!

— Wiwat — odpowiedziała Karolinka i wychyliła lampkę do dna.

— Teraz musimy wypić pańskie zdrowie — rzekła, napełniając lampki na nowo.

Trącili się szklaneczkami i znowu jednym tchem wszystko wypili.

— Trzy to okrągła liczba — zawołał teraz Józef i nalał znowu.

Karolinka chętnie poddała się temu wezwaniu i już podnosiła trzecią lampkę do ust, gdy wtem ozwał się głos z drugiego końca izby.

— Karolka! czyś ty głucha? Nie słyszysz, że ja chcę jeszcze jedną szklankę? Cóż to za usługa do stu diabłów?

Karola wypiła prędko i wstając szepnęła Józefowi:

— Ja zaraz wrócę!

Pobiegła, żeby usłużyć niecierpliwemu gościowi.

Józef uśmiechnął się szeroko, nalał sobie znowu i zabrał się do swej wieprzowiny tak szczerze, że za niedługą chwilę talerz był jakby wymyty.

Dziewczyna biegła od stołu do stołu i spełniała rozkazy schodzących się gości.

Józefowi zaczęło się już nudzić samemu, gdy wtem przystąpił do jego stołu jakiś obywatel małomiejski z wyglądu i poprosił, czy wolno usiąść.

Józef uprzejmie odpowiedział:

— Proszę!

Człowiek ten był ubrany zwyczajnie, ale porządnie, miał czerwony szal i grube włóczkowe rękawiczki.

Kazał sobie dać piwa i popijał z widoczną przyjemnością.

Ale, że przy szklance najlepiej się gawędzi, więc zaczął sobie z Józefem rozmawiać.

Przedstawił się jako stolarz, nazwiskiem Helm, i zaproponował mu taroka dla rozrywki.

Józef byłby się już zgodził, ale zobaczył, że Karolina z drugiego stołu zza pleców gościa daje mu jakieś znaki, jakgdyby mu chciała poradzić, żeby się z tym jegomościem nie wdawał.

Po ruchu ust jej zdawało mu się, że ona mówi — oszust — i wskazuje na tego faceta w czerwonym szalu.

— Ja tego nie umiem — rzekł więc — ale zagrałbym w 66.

Ale na to znowu pan majster stolarski Helm nie miał wielkiej ochoty, ale gdy widział, że przybysz nie daje się naciągnąć na taroka, w którym prawdopodobnie był mistrzem i zgrywał wszystkich, przystał na to, żeby zagrać 66.

Kazał przynieść karty, a gdy Karolina je przyniosła, spojrzał na nie pogardliwie.

— Obrzydliwe, brudne! — zawołał — to już wolę wyciągnąć swoje i zaofiarować. Właśnie mam przypadkiem w kieszeni jedną talię.

Karty, które przyniosła Karolina odsunął na bok i wyciągnął z kieszeni talię kart prawie nowych, zamieszał je, kazał Józefowi zdjąć i zaczął rozdawać.

Józef nic na to nie mówił, ale patrzył bystro na partnera.

— O ile gramy? — spytał pan Helm — dziesięć fenigów?

— A może lepiej o guzik? — szydząc odpowiedział Józef — niżej trzech marek nie gram.

Pan Helm zrazu się sprzeciwiał, że to dla niego za wysoka gra, ale mimo to dziwnie prędko się na nią zgodził.

Zaczęli grać i pierwszą partię Józef wygrał.

Z westchnieniem, skargami i narzekaniem wyciągnął Helm talara i dał Józefowi, który go schował z uśmiechem.

Ale nagle szczęście się odmieniło. Helm zaczął wygrywać i już zgrał Józefa na 18 marek.

Goście z sąsiednich stolików przypatrywali się.

— Pan musi mieć szczęście w miłości — rzekł szyderczo jeden do Józefa.

— Dobrze pan zrobił, nie chcąc grać niżej trzech marek — śmiał się drugi — przynajmniej będzie poznaka, że pańskie pieniądze pójdą między ludzi.

— Braciszku! — zawołał trzeci, jakiś jowialny pan — nie chcę z tobą dzielić zysku!

Józef słuchał cierpliwie, ale wciąż patrzył badawczo na partnera.

Nagle rzucił się na niego, chwycił go za szyję i krzyknął z wściekłością:

— Łotrze! — złapałem cię na gorącym uczynku! Szachraju! Oddaj tu zaraz pieniądze! Oszuście! Na pomoc!

Mały skandalik był dla gości szynkownych pożądaną rozrywką.

Otoczyli ich w koło i podzielili swe sympatie między walczących.

Pan Helm zapewniał, że grał uczciwie, że jest niewinny, że go się haniebnie oczernia.

Ale Józef basowym głosem zagłuszył go, że to nieprawda, że on go oszukiwał i z rękawa wyciągał jakieś karty.

Gdy w rękawach Helma w istocie znaleziono karty, wina jego okazała się wyraźnie.

Całe towarzystwo głośno wyraziło oburzenie niemoralnemu graczowi, zmuszono go gwałtem do oddania pieniędzy, które jednak w drodze od niego do właściciela tajemniczym sposobem wśród oburzonych, moralnych gości zginęły.

Pana Helm ruchem przyśpieszonym wyrzucono z izby, przy czym głowa jego po drodze kilkakrotnie zderzyła się niedelikatnie z ścianą i meblami, zanim uderzyła na ulicy o trotuar.

Przy tym doraźnym wymierzaniu sprawiedliwości Józef nie próżnował i nie dawał się innym wyprzedzić, nie dbając wśród słodyczy zemsty o to, że ubranie jego musi ucierpieć w tym tłoku.

Duma jego wzrosła jeszcze, gdy wszyscy, którzy go przedtem wyśmiewali, teraz odzywali się do niego z respektem.

Czuł się taki podniesiony na duchu, że wygłosił do zgromadzonych małe przemówienie, mówiąc, że mu pomogli ukarać oszusta, że zatem teraz muszą mu pomóc pić. Miał zamiar kazać wytoczyć na swój rachunek beczkę piwa dla nich, żeby pili na jego zdrowie.

Jakkolwiek mowa ta nie była arcydziełem stylu, to jednak podobała się bardzo.

Słuchacze oświadczyli zgodnie, że Józef musi być człowiekiem bardzo wykształconym, że jest dystyngowany, a każdy z nich odkrył w sobie wielkie pragnienie.

Wytoczono beczkę i szklanki wypróżniały się szybko, by się wnet na nowo napełnić.

Towarzystwo było wesołe i swobodne.

Wielu usiadło sobie przy stole Józefa, który stał się bohaterem dnia. Gospodarz spod „Siwego wołu" przysiadł się także do tak zacnego gościa i bez pamięci zapijał się własnym piwem, aby rachunek Józefa był jak największy. Karolina miała dużo roboty z napełnianiem szklanek. Zmęczyła się i przechodząc koło Józefa, rzekła z wyrzutem:

— A to mi pan nawarzył! Ja przez pana wpadnę w suchoty! Tak mi się pan odwdzięcza za przestrogę.



Dwaj nieodłączni towarzysze — pasterz i pies.

— Nie gniewaj się, aniołku! — zawołał Józef obejmując ją czule — prawda, że to niewdzięcznie z mojej strony, ale ja ci się jeszcze odwdzięczę! Zrobię ci prezent.

Powiedz sama, co chcesz, żebym ci kupił?

— To powiem już panu, jak kiedyś będziemy sami! — powiedziała Karolina.

— Tak, ale kiedy już raz dla mnie czas mieć będziesz? — spytał Józef, patrząc pożądliwie na piękną, tęgą dziewczynę.

— Jutro jest moja niedziela! — odrzekła Karolina znacząco.

— No, to już pewnie jaki kochanek stoi pod drzwiami i czyha na ciebie? — zapytał Józef niezadowolony.

— Nic o tym nie wiem! — odrzekła szybko. Pogniewała się bowiem ze swoim ostatnim kochankiem. Nie wiem wprost, jak ten czas w niedzielę zabić! — dodała.

— To się właśnie bardzo dobrze składa! — zawołał Józef. — Urządzimy sobie jutro przyjemną niedzielę! Zgadzasz się, Karolinko?

— A, bardzo chętnie! — oświadczyła Karolina. — Proszę jednak, abym sobie sama mogła wybrać, co zechcę.

— Cóż ty myślisz, że jestem biedakiem i skąpcem? O, nie, moją zasadą jest być hojnym i szczodrym.

W tej chwili zawołał któryś z gości Karolinkę i przerwała się ta rozmowa.

Druga beczka piwa była już wypróżniona i trzecia już się kończyła, gdy się goście zaczęli rozchodzić. Niejeden chwiał się na nogach i zataczał się to w tę, to w drugą stronę ulicy. Został się tylko sam Józef. Wtedy przystąpił do niego gospodarz i prosił uprzejmie, ale stanowczo, aby wyrównał rachunek. Wymienił dość wygórowaną sumę, bo wszyscy obecni użyli sobie wedle pragnienia na rachunek Józefa, a gospodarz korzystał z tego i niejedno dodał dla tym większego zysku.

Józef wybełkotał, że to trochę za dużo, ale sięgnął do kieszeni, wyjął garść złotej i srebrnej monety, którą wyrzucił na stół. Osłupiałym wzrokiem patrząc na toczące się po stole pieniądze — czy dosyć masz, ty stara pijawko? — Gospodarz jednak wcale się nie obraził, tylko przeliczył szybko pieniądze. Dostał prawie dwa razy tyle, ile żądał. Powiedział jednak, że brakuje jeszcze drobnostki, ale że on się u takiego dobrego gościa nie liczy tak drobiazgowo. Potem ukłonił się i odszedł.

Józef patrzył osłupiałym wzrokiem na gasnący prawie płomień gazowy. Sen go już morzył, a przecież nie mógł się przemóc, aby pójść po schodach do swego pokoju. Wtedy przystąpiła do niego Karolina i budziła go.

— No, powiedz — zagadnęła go, zamieniając ceremonialnie — pan — na poufałe — ty, — gdyż świadków już nie było, — jak długo będziesz tu siedział? Chodź, pomogę ci wejść na schody. Nie dam ci tu siedzieć, bo ja muszę tak długo czuwać, jak długo ktoś tu siedzi, a jestem już zmęczona.

Pomogła mu wstać i wyprowadziła na schody, przyczem Józef bełkotał czułe wyrazy.

— Tak, tak, mój aniołku, — mówił — kocham cię, bo masz serce, dostaniesz też ode mnie piękny podarek.

— To daj mi go zaraz — odrzekła dziewczyna, takich rzeczy nie należy odkładać. Trzeba mi nowego płaszcza, daj mi co na to!

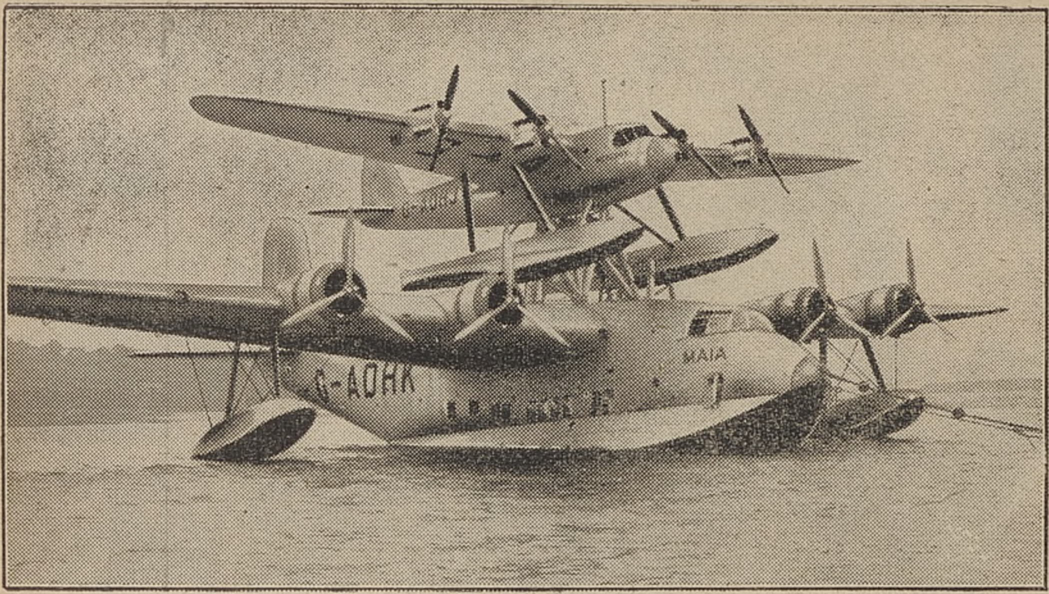
— Co? — wybełkotał Józef, chcesz pieniędzy? Mogę ci dać.

Sięgnął znowu do kieszeni, wyjął wszystkie pieniądze i rzucił na ziemię. Karolina pozbierała je chciwie, a Józef stał oparty o mur klatki schodowej i patrzył głupio przed siebie. Dopiero gdy go Karolina znowu wzięła za rękę ocknął się i żądał od niej całusa, czego mu ona nie odmówiła.

Gdy przyszli na górę, położył się w ubraniu na łóżko i natychmiast zasnął.

Karolina odeszła. W sieniach uklękła jeszcze na ziemię i szukała przy świetle świecy, czy jeszcze czego nie znajdzie i rzeczywiście znalazła dwie marki. Potem poszła do swego pokoiku.

Tu jeszcze raz policzyła wszystko i zdziwiła się, że tyle dostała, bo było razem



W Anglii zbudowano olbrzyma powietrznego, z którego przy pomocy odpowiedniego urządzenia mogą startować mniejsze hydroplany.

83 marek i 50 fenigów. Tyle pieniędzy jeszcze nigdy w życiu razem nie miała, nic więc dziwnego, że tak się cieszyła. Z pogardą odsunęła od siebie niklowe pieniądze, które w ciągu wieczora za usługiwanie uzbierała, a bawiła się złotą monetą, ciesząc się jak dziecko. Potem złożyła razem złote pieniądze, wysunęła szufladę komody, z której wyjęła parę letnich pończoch i do tych schowała 70 marek w złocie, a srebrne pieniądze włożyła do blaszanej puszki, w której już miała trochę pieniędzy. Potem zamknęła komodę, wzięła klucz do siebie i położyła się spać.

Karolina długo jeszcze nie mogła usnąć. Miała już wielu kochanków, ale żaden z nich nie był tak rozrzutny i tak chętnie jej nie obdarzał, jak Józef. Postanowiła więc trzymać się jego i wyłudzić od niego pieniędzy, ile się tylko da.

Józef wstał na drugi dzień z zamroczonym umysłem. Nie pamiętał nic, co się wczoraj działo. Umył się zimną wodą, nawet głowę włożył do miednicy i ten środek okazał się bardzo skutecznym. Gdy się ubrał, szukał po wszystkich kieszeniach i dziwił się, że tak mało mu zostało, bo wczoraj dopiero zmienił większy banknot, ale nie bardzo się tym zmartwił, bo miał jeszcze większą sumę, którą postanowił dziś u właściciela gospody zmienić.

Gdy przyszedł do gospody, zastał tam Karolinę jeszcze piękniejszą niż wczoraj. Obstalował sobie najpierw marynowanego śledzia i dopiero to ocuciło go do reszty. Przywołał do siebie Karolinę i zapytał ją, dokąd by dziś pójść miała ochotę.

— Dokąd pan chce — odrzekła. — Od południa będę wolna, bo wtedy rozpoczyna robotę moja pani z dwiema siostrami.

— No, ale ja się tu nie wyznam, — odrzekł Józef — Ty prędzej możesz wybrać, bo ja tu w Frankfurcie jestem obcy.

— A więc chodźmy do restauracji Księcia pruskiego! — zaproponowała Karolina. — Tam jest bardzo przyjemnie, a muzyka tak ślicznie gra, że nogi aż same tańczą. Mówię ci, że boska będzie zabawa.

— No, to pójdziemy tam, a gdyby się nam tam nie podobało, to możemy jeszcze gdzieindziej próbować się zabawić. Kiedy więc będziesz wolna, Karolinko?

— Tak około trzeciej godziny.

Po tych słowach Karolina oddaliła się, bo zewsząd wołano ją. Józef kazał sobie podać obfity obiad, potem zdrzemnął się. Obudziła go dopiero Karolina.

Miała suknię pawiego koloru, z czerwoną pluszową wstawką i licznymi kokardkami. Na głowie kapelusz oliwnego koloru z czerwonymi i niebieskimi piórami. W braku zimowego płaszcza włożyła jesienny żakiet. Na rękach miała skórzane rękawiczki.

— Do krocset tysięcy! jakaś ładna — zawołał Józef z prawdziwym zachwytem.

Karolina uśmiechnęła się i tak wyszli zadowoleni z domu. Na ulicy ujęła go Karolina czule za ramię.

— Czy jesteś mi życzliwy, Józefie — zapytała przymilnie.

— Dlaczegożbym cię nie miał lubić? — odrzekł. — Jesteś przecież piękną, hożą dziewczyną.

— A dlaczegoż dziś już nie pamiętasz, żeś mi wczoraj przyrzekł podarunek — skarżyła się Karolina.

— A czyż ci już nie dałem garść pieniędzy — pytał Józef zdziwiony.

— Nie dałeś mi ani feniga! — kłamała dziewczyna. Czyżbym już sobie nie kupiła zimowego płaszcza zamiast chodzić w tym lekkim żakiecie. Ot, wstydź się, że nie dotrzymujesz słowa danego biednej dziewczynie.

— No, no, uspokój się! Płaszcz zimowy kupić możemy. Jest teraz gdzie jaki sklep otwarty?

— O tu, zaraz na rogu ulicy jest taki sklep — odpowiedziała Karolina. — Możemy wejść tylnymi drzwiami, tu sprzedają i w czasie nabożeństwa.

Poprowadziła go szybko, bo obawiała się, ażeby się nie odmyślił. Józef był jednak hojnie usposobiony.

— Proszę pokazać zimowe płaszcze dla tej pani, ale coś ładnego, eleganckiego! — powiedział Józef do subiekta sklepowego.

Karolina wybrała po długim próbowaniu bardzo elegancki i drogi płaszcz, za który Józef bez żadnego targowania się, zapłacił.

Dziewczyna włożyła zadowolona nowy płaszcz i kazała stary żakiet zapakować.

— A może trzeba deszczowego płaszcza? Dostaliśmy już nowe modele! — mówił subiekt, zachwalając towary. Coraz jest cieplej i za kilka dni już pannie będzie trzeba letniego płaszcza, a jeżeli już państwo tu są, to byłoby o wiele wygodniej od razu płaszczyk letni wybrać.

— A mój stary płaszcz deszczowy jest rzeczywiście bardzo zniszczony! — mówiła Karolina, patrząc na Józefa i prosząc go wzrokiem.

— A więc wybierz sobie, wystarczy jeszcze i na to!

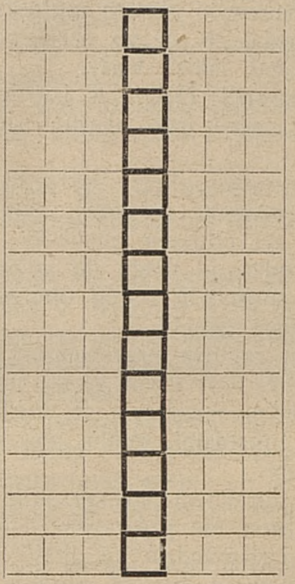
Dziewczyna nie czekała na powtórne zachęcenie, zaczęła wybierać i wyszukała sobie bardzo jasny, bijący w oczy płaszcz i poleciła, aby jej ten letni płaszcz wraz z żakietem, który złożyła, zapakować i przechować do następnego dnia, a ona sama po to przyjdzie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF

ul. „EM-ZET".



W powyższą figurę wpisać poziomo 14 wyrazów o podanym niżej znaczeniu. Rząd środkowy da rozwiązanie.

Wyrazy pomocnicze: 1) Urzędnik dworski z czasów staropolskich. 2) Rzemieślnik. 3) In. siedziba danei organizacji. 4) Powstaje z lnianych włókien. 5) Imię męskie. 6) Jednostka należąca do jakiejkolwiek organizacji. 7) Człowiek żyjący samotnie. 8) Cienki, delikatny materiał. 9) Imię żeńskie. 10) Ciastko. 11) Resztki jedzenia. 12) Znajdujemy w gazetach. 13) Otrzymujemy od kapitału. 14) Gatunek sowy.

DOMYŚLANKA

K...et. n.. wt....as sz..ęśl..., k...y i .och.j. a.. w...y, k...y on. k..a.

Odczytać bardzo ładną myśl!

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do środy, 3-go listopada br.

Rozwiązanie zadań z numeru 42 „Moich Powieści": Kwadrat magiczny: 1) Potop, 2) Obora 3) Tokaj, 4) Orawa, 5) Pajac.

Bilety wizytowe: 1) Pirotechnik, 2) Pedagog, 3) Zegarmistrz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kowalówna Janina — Bydgoszcz, Pawlaczek Marian — Brodnica n. Drw., Kozłowska Maria — Katowice, „Eros", Chodzierski Jan — Grudziądz, Cuma Zbigniew — Poznań, Maślak Edmund — Toruń, Stęczniewski Roman — Gorzyce Wielkie, Zdrochowicz Gerard — Tczew, Wiśniewska Maria — Katowice, Pietrzakówna Maryla — Leszno, Słupska Lidia — Nielbark, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Kujawa Teodor — Janów, „Złote Słoneczko" — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Wiśniewskiej z Katowic i Maślakowi z Torunia.

ADAM CZEKALSKI

5)

Milion w złocie

POWIEŚĆ

Do pociągu miał jeszcze przeszło dwie godziny czasu, nie potrzebował przeto zbytnio się spieszyć. Wszedł po drodze do baru na drugie śniadanie, a kiedy siedział przy stoliku, przypomniał sobie wręczoną mu przez pułkownika francuską gazetę. Wydobył ją przeto z kieszeni i rzucił okiem na olbrzymi tytuł na pierwszej stronie:

„INŻ KRUPIŃSKI SKAZANY NA 8 LAT WIĘZIENIA ZA SZPIEGOSTWO"

Przeczytawszy to, aż podskoczył na miejscu. Ten tytuł uderzył go niby obuchem w głowę, aż mu w oczach pociemniało.

— Krupiński, Krupiński — przelatywało mu błyskawicą przez mózg. — Czyżby ten Krupiński, skazany w Havrze za szpiegostwo, miał cokolwiek wspólnego z Lilą, z jej od wielu już lat zaginionym ojcem?

Pochylił się nad gazetą i zaczął wolno i uważnie odczytywać treść bombastycznego artykułu, zawierającego raczej więcej wymysłów pod adresem ukaranych szpiegów, aniżeli istotnej treści z rozprawy. Nie zdziwił się tym bynajmniej. Cenzura wojskowa przesiała sprawozdanie przez swoje sito i puściła do prasy to tylko, co nie narażało bezpieczeństwa państwa i tajemnic wojskowych. Ale Jurek, jako wybitny fachowiec w swoim dziale, mimo wielu niedomówień i niedociągnięć, dowiedział się jednak bardzo wiele z artykułu. Lecz najbardziej uradowało go to, co mówiono o inż. Krupińskim: „młody, trzydziestoletni człowiek". A więc nie ojciec Lili, a więc człowiek zgoła jej obcy. To go pokrzepiło, ucieszyło ogromnie. Więc nie zajmował się tym artykułem, ani aferą wykrytą w Havrze. Ostatecznie tyle afer rozgrywa się codziennie niemal na szerokim świecie, że jedna więcej nie stanowi ewenementu, żadnej nadzwyczajności. A że tym razem wśród zdemaskowanych szpiegów znalazł się również jakiś tam hindus czy malaj — nie jest również w tym dziale nowością. Jak nie jest nowością i to, że w danym razie omotywowano lotników z morskiej bazy lotniczej francuskiej.

Jednakże sprawa ta, zapewne przez to, że w niej figurował Krupiński, zdenerwowała go mocno. Był poruszony samym faktem, że człowiek noszący takie samo nazwisko, jak jego najmilszy, maleńki dzieciak, okazał się szpiegiem na rzecz państwa wrogiego zarówno Francji jak i Polsce.

Porucznik wypił kawę, zapalił papierosa, poczem wsadził gazetę do płaszcza i poszedł ku domowi.

Kiedy zrobił zaledwie jeden krok na schody domu, w którym mieszkał, natknął się na młodego i bardzo eleganckiego człowieka, w którym uderzyło go jedno tylko, a to oczy — oczy zielone i błyszczące fosforycznie nawet za dnia jak u tygrysa. Mimo woli tylko spojrzał w twarz temu człowiekowi i odrazu spostrzegł w jego twarzy owe zielone oczy.

A nieznajomy przeszedł obok niego obojętnie i spokojnie, zdając się nawet nie widzieć porucznika. Stadnicki poszedł wolno do góry po schodach i wciąż myślał o oczach nieznanego człowieka, którego spotkał w drzwiach. W końcu jednak roześmiał się wesoło i mruknął pod nosem:

— Bóg z nim! Co mnie obchodzą jego oczy?... Chociaż — to ciekawe: zielone oczy. Czasem kobiety mają zielone oczy, ale oczy te nieznajomego mają specyficznie zielony odcień.

I dziwna rzecz: porucznik wszelkimi siłami starał się nie myśleć o zielonych oczach nieznajomego, a jednak nieustannie wracał do rozważań na ten temat.

— Zielone oczy — mruczał wciąż, pakując różne manatki do walizy. — Zielone oczy tygrysa w twarzy ludzkiej... Żymełka!— huknął następnie w stronę kuchni, gdzie porał się z butami porucznikowskimi ordynans.

W kuchni coś trzasnęło, zadźwięczało i po chwili na progu pokoju stanął Żymełka w postawie służbowej.

— Rozkaz, panie poruczniku!

— Żymełka, czyś ty widział kiedy człowieka, któryby miał zielone oczy?

— Zielone oczy? — zdumiał się ordynans. — Nie, panie poruczniku, ja nigdy nie widziałem człowieka, któryby miał zielone oczy.

— Hm, pewnie, gdzież ty takiego mogłeś zobaczyć...

— Tak jest, panie poruczniku, gdzie ja takiego mogłem widzieć.

— Cicho bądź.

— Rozkaz, panie poruczniku!

— Żymełka!

— Słucham, panie poruczniku. A czy ty widziałeś kiedy podobne dziwo choćby tylko wśród zwierząt — na przykład konia o zielonych oczach?

— Konia to ja widziałem, panie poruczniku, u stryjecznego brata mojej wujecznej siostry, ale ten koń miał jedno oko zielone, niby trawa w maju, a drugie jakby bielmem powleczone.

— I widział na oba oczy?

— Jeszcze jak widział, panie poruczniku! A co to za zmyślna i przebiegła była bestia!

Stadnicki roześmiał się na całe gardło.

— Dajcie katu, mój Żymełko — rzekł następnie. — Dawaj buty do walizy, bo czas do pociągu.

— Rozkaz, panie poruczniku.

Zapakowawszy walizę, porucznik kazał ordynansowi przywołać taksówkę, którą zamierzał pojechać na dworzec, a kiedy ordynans odniósł walizę i wrócił na górę, Stadnicki wydał mu ostatni rozkaz na całe siedem dni:

— Żymełka — mówił — pamiętaj, ażebyś mi tutaj żadnej swojej ferainy nie sprowadzał i pod żadnym pozorem nikogo do mieszkania nie wpuszczał. Moich papierosów nie wypalaj, wina nie wysącz i zachowuj się w ogóle tak, jak na przyzwoitego żołnierza przystało.

— Rozkaz, panie poruczniku.

— No, więc bywaj zdrów i mieszkania należycie pilnuj.

— Rozkaz, panie poruczniku.

— No, masz tu piątkę na własne twoje balowanie, możesz poprosić o urlop na przepustkę u kapitana Olśnickiego i później możesz się zabawić, ale zaznaczam: tylko nie w moim mieszkaniu.

— Słucham, panie poruczniku i — bardzo dziękuję.

Stadnicki zszedł na dół i wsiadł do taksówki.

— Dworzec główny — rzekł i zapaliwszy papierosa zasunął się głębiej na siedzeniu.

Skręcając z Królewskiej na Marszałkowską, porucznikowi znowu mignęła postać człowieka o zielonych oczach, którego spotkał przed godziną na schodach swego domu. Obejrzał się za siebie, gdy nagle zgrzytnęły gwałtownie hamulce i rozległ się trzask łamanego żelaza. Gwizd policjanta rozdarł powietrze, wszczął się krzyk, przekleństwa i wymysły szoferów, w jednej chwili zbiegli się ludzie i otoczyli oba zderzone wozy dokoła.

Stadnicki, odrzucony gwałtownie do tyłu w chwili zderzenia, uderzył się mocno tyłem głowy o szybę, aż mu czapka spadła na oczy i jednocześnie doznał ostrego kłucia w tyle czaszki. Szybko jednak przyszedł do siebie i usiłował otworzyć drzwi, aby wyjść z pogruchotanej i niezdatnej do dalszej jazdy taksówki, ale drzwi tak się zacięły, że wszelkie wysiłki na nic się zdały.

— Panie! — zawołał porucznik do szofera. — Uwolnij mnie pan ze swojego więzienia.

Szofer, oszołomiony i wściekły na kolegę, który go najechał, podbiegł do drzwiczek i z wielkim wysiłkiem wyłamał drzwi, uwalniając porucznika.

— Jakżeś pan jechał, do licha, żeby zrobić tak wspaniały karambol i pogruchotać wóz prawie na drzazgi? — spytał Jerzy, przyglądając się szczątkom wozu swojego szofera.

— Ach, panie poruczniku, ja tu najmniej winien — tłumaczył się szofer. — Jechałem przepisowo, prawą stroną, gdy ten cymbał — wskazał na swojego kolegę — najechał na mnie i ot, co zrobił.

Porucznik machnął ręką i zażądał wydania walizy, wtłoczonej gdzieś na przodzie w korpus motoru. Tymczasem posterunkowy, który w tym miejscu pełnił służbę, zajął się sprawą prawną całego zajścia. Dla niego, jak zresztą i dla całego szeregu innych widzów, nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że szofer jadący od strony dwor-



Na oryginalny pomysł wpadł pewien niemiecki zbieracz trofeów myśliwskich, który nogi upolowanego słonia przerobił na naczynia.



Członkowie faszystowskiej organizacji młodzieży „Balilla“ przy wojskowych ćwiczeniach w maskach gazowych.

ca głównego najechał na taksówkę porucznika Stadnickiego. Do niego też zwrócił się z wyrzutami posterunkowy.

— Prawo jazdy jest?

— Proszę — podał książeczkę zalterowany i przygnębiony rozbiciem wozu szofer.

— Co? Od czternastu lat szofer i w dodatku mechanik i takiego karamboluś pan narobił? Jak widzę, nie znasz pan nawet najprymitywniejszych przepisów o prowadzeniu pojazdów mechanicznych.

— Przeciwnie, panie starszy — próbował usprawiedliwiać się szofer — znam je doskonale, czego dowodem jest, że za czternaście lat prowadzenia wozu nie byłem ani razu karany. Ale tym razem... tym razem sam diabeł tu chyba winien. Przecież doskonale pamiętam, że jechałem prawą stroną z przepisową szybkością, gdy nagle spojrzałem nieco w bok i zobaczyłem człowieka o błyszczących zielonych oczach... Te oczy urzekły mnie chyba.

— Co mi pan tu będziesz zalewał o jakichś zielonych oczach, kiedy cała katastrofa wydarzyła się na moich oczach i doskonale widziałem, że zamiast przystanąć, aby przepuścić tramwaj idący z Królewskiej na Marszałkowską, pan skręciłeś raptownie w lewo i najechałeś na ten wóz.

— Przysięgam, panie starszy, że to zielone oczy mnie urzekły.

— Boś pan pewnie wypił gdzie zielonej wódki, dlatego i w oczach ci zielono.

Publiczka zgromadzona dokoła zarechotała wesoło.

Porucznik Stadnicki, który już właśnie wsiadał do innej taksówki, przystanął na schodku wozu i słuchał uważnie. Dla niego jednego w całym tym gronie ludzi zainteresowanych bezpośrednio katastrofą i gapiów, opowiadanie szofera było prawdą. Wszyscy inni opowieść o człowieku z zielonymi oczyma wzięli za próbę wykręcenia się sianem.

Ale tymczasem nadjechało już pogotowie, zaalarmowane przez kogoś i zajęto się uprzątaniem zatoru na jezdni. Porucznik nie czekał na zakończenie całego tego incydentu, w którym wziął tak bezpośredni udział, ale zatrzasnąwszy drzwiczki pojazdu, kazał śpiesznie jechać na dworzec.

Jednak przez cały czas swej jazdy ku dworcowi i następnie później w pociągu, nie schodził mu z myśli człowiek z zielonymi, fosforycznie błyszczącymi jak u tygrysa oczami. Oczywiście, porucznik wziął to za zwykły przypadek. Czyż mało oryginalnych typów ludzkich zdarza się na tym najpiękniejszym ze światów!

Pociąg mknął wśród pól i równin mazowieckich, oznajmiając się świstem syreny i sypiąc chwilami snopy złotych łez z komina i z otwartego brzucha na nasyp kolejowy. Na jednej z mniejszych stacyjek, podczas wymijania drugiego pociągu, idącego w przeciwnym kierunku, Stadnicki stał w oknie, obserwując migające mu przed oczyma wagony. Był zamyślony w dalszym ciągu, bo wciąż mu się wydawało, że jednak ten człowiek z zielonymi oczyma musiał w wypadku tam na zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej odegrać jakąś rolę. Bo przecież bez kozery ten cały wypadek nie był. Ale jakiż był sens spowodowania całej tej katastrofy?

Porucznik zadumał się i dalej bezmyślnie wpatrywał się w przemykający przed nim długi sznur pociągu towarowego, gdy nagle rozległ się głośny brzęk tłuczącego szkła i potężny drąg żelazny rozbił na drobne drzazgi szybę okna, w którym stał Stadnicki, wpadł do przedziału i wbił się na znacznej głębokości w obiciu coupé.

Jerzy momentalnie przysiadł i dzięki tylko nadzwyczaj bystrej orientacji uniknął śmiertelnego ciosu żelaznego drąga, który zawadził jeno o jego plecy i rozpruł mu na plecach ukośnie cały płaszcz. Stadnicki pociągnął za hamulec automatyczny i pociąg posunął się jeszcze kilkadziesiąt metrów po szynach ze zgrzytem — i przystanął. Wszczął się natychmiast ruch, bieganina, krzyki i nawoływania konduktorów i pasażerów, zaniepokojonych nagłym zatrzymaniem się pociągu w szczerym polu. Do przedziału wpadł kierownik pociągu z konduktorem.

— Czy to pan zatrzymał pociąg, panie poruczniku? — zapytał wystraszony i zadyszany konduktor.

Stadnicki głosem wzruszonym i drżącym, odrzekł:

— Tak, to ja... Proszę patrzeć, wskazał na rozbite okno i na drąg, tkwiący nadal w obiciu coupé.

— Toż to zakrawa na zamach! — zawołał kierownik pociągu.

— Nie wiem na co to zakrawa — odrzekł porucznik już spokojnie, opanowawszy wzruszenie — ale jeśli miałbym wyrazić swoje zdanie, to ten drąg świadczy o nie całkiem pewnym bezpieczeństwie na tej linii.

— Ależ panie poruczniku — próbował tłumaczyć się konduktor — na tej linii nie było od lat najmniejszego wypadku sabotażu czy czegoś podobnego!

— Chyba ten drąg, ta zbita szyba, nie potwierdzają pańskiego mniemania? Ale mniejsza o to, nie będziemy dyskutowali na temat rzeczy nieistotnych. Proszę mi dać jakiś przedział, gdzie mógłbym spokojnie dojechać do Kutna, a tymczasem możemy jechać dalej.

Stadnicki zdjął walizę z półki i poszedł za konduktorem do wskazanego mu przedziału. Nie był on pusty, jak poprzedni, bowiem na jednej z kanap leżał wyciągnięty i nakryty na głowę futrem jakiś pasażer. Porucznik ulokował się naprzeciwko i zaczął spokojnie rozważać cały co tylko przeżyty wypadek. Zaczął karambol taksówek zestawiać z ostatnim zamachem żelaznym łomem i wysuwać daleko idące wnioski na ten temat. W końcu jednak doszedł do przekonania, że wszystko to było najzwyczajniejszym i najczystszej wody przypadkiem i niczym więcej. Po stwierdzeniu tego zakręcił się w płaszcz i legł na drugiej kanapce.

Tak dojechał do Kutna, gdzie musiał był przesiąść się do innego pociągu, który miał go dostawić już na miejsce, do Łodzi. Ale gdy wysiadł na stacji, dowiedział się tutaj, że pociąg łódzki ma nader duże opóźnienie, co wprawiło go w takie rozdrażnienie, że omal nie zwymyślał tragarza, który mu to przyszedł oznajmić. Opanował się jednak i rezygnacyjnie usiadł w poczekalni na krześle, zdając się na ślepy los: będzie, co być ma.

Tak dosiedział do godziny dwunastej w nocy. Gdy się ocknął z drzemki i spojrzał na zegarek, zaklął szpetnie i poszedł do telegrafu, aby rozmówić się telefonicznie z Lilą.

Wściekłość go porwała za włosy, gdy się dowiedział, że Lila wogóle żadnej depeszy nie wysyła.

— Do diabła! — zaklął głucho. — Cóż to wszystko znaczy? Co to zaczyna się dokoła mnie dziać? Jakieś tajemnice, zygzaki, esy-floresy, diabli wiedzą co.

— Panóczku, pozwól, ja tobie powróżu, ja tobie powiem gdzie szczaście twoje i gdzie nieszczaście — odezwał się tuż przy nim, gdy wychodził z telegrafu, czyjś głos. Porucznik spojrzał ciekawie na instruza i zobaczył małą, czarną jak mocna kawa Cygankę, która stała przed nim i proponowała wróżbę.

— Poszoł won do ciężkiego licha ze swoją wróżbą! — warknął gniewnie Stadnicki i postąpił krok naprzód. Ale Cyganka nie chciała snać dać za wygraną.

— Panoczku, ty nie sierdziś, ty nie gniewaj się na Cyganku — rzekła znowu prosząco — Cyganka biedna, no ona tobie powie, gdzie szczaście twoje, gdzie nieszczaście, jakich masz wrogów, a jakich przyjaciół.

Porucznik zatrzymał się nagle i rozejrzał dokoła. Była noc, peron pusty, ni-



Wojna to pogrom — a oto rozbitkowie chińscy.

gdzie dokoła żywej duszy. Zwrócił się naraz do Cyganki:

— Potrafisz ty wróżyć? — zapytał.

— Potrafię, panoczku.

— Czy mogłabyś mi powiedzieć, ale tak szczerze i prawdziwie, kto jest moim wrogiem i dlaczego ten wróg usiłuje mnie prześladować?

— Powiem, panoczku, ją wszystko powiem, co karta pokaże.

— Dobrze, — zdecydował się naraz Jurek. — Masz tu dwa złote na zadatek i kładź karty. Jeśli dobrze powróżysz, jeśli prawdę powiesz, dostaniesz drugie dwa złote, a jeśli nie — do policji cię oddam za obman. Rozumiesz?

— Rozumiem, panoczku, rozumiem.

— No, więc uważaj.

Cyganka weszła napowrót do poczekalni telegrafu, w tej chwili pustej i zaczęła rozkładać karty na stole. Stadnicki stał obok i wpatrywał się w karty, jakby sam z nich chciał cokolwiek wyczytać.

— Tylko nie łżyj! — napomniał raz jeszcze cygankę.

Cyganka nie zwróciła jednak na to uwagi, ale zapatrzona w karty, mruczała coś pod nosem, poczem zaczęła mówić głosem nieco śpiewnym, ale twardym, dobitnym.

— Wam droga, panoczku, droga do kochanej, ale wy z niej nieszczęście wywieziecie... Czeka was zło, czeka was nieszczęście i dola ciężka i droga daleka, bardzo daleka... Wam na zdradzie zły człowiek stoi; on z daleka tu przybył, bardzo z daleka. Wystrzegajcie się, panoczku człowieka, co ma oczy jak zwierz, złe oczy ma ten człowiek.

— Jakie? — rzucił krótko Jurek.

— Złe, panoczku, złe głaza u tego człowieka; on wam wróg i waszej kochanej wróg, wielki wróg, niebezpieczny wróg...

— Jakie oczy ma ten człowiek?

— W kartach nie „stoi" panyczu, jakiego koloru są te jego oczy, a tylko złe, ot i cała rzecz.

— Co dalej?

Cyganka zaczęła przeliczać karty w jedną i w drugą stronę, liczyła raz, liczyła drugi i trzeci, w końcu podniosła swe duże i czarne jak tarki oczy na twarz porucznika.

— Wam kradzież wychodzi, panyczu, kradzież ważnych papierów urzędowych, kradzież ważna, wielmi ważna, panyczu... Ach! Wam przez to dola zła i nieszczaście za wami.

— Głupiaś, ja nie mam żadnych papierów urzędowych, ani ważnych ani nieważnych! — obruszył się Stadnicki.

— Te papiery nie przy was, panyczu, wcale nie przy was.

— Et, brednie zaczynasz pleść. Powiedz lepiej, co dalej?

— Co dalej? Co dalej... — Cyganka spojrzała znowu na karty, zaczęła je liczyć w jedną i drugą stronę, po czym znowu podniosła swe czarne oczy na porucznika i wyrzekła stłumionym głosem: — Panyczu, aj panyczu...

— Cóż tam znowu nowego zobaczyłaś?

— Wy dumali, że wezwanie pochodzi od ukochanej, ale wezwanie to od wroga waszego pochodzi, od śmiertelnego wroga, który zguby waszej pragnie i nieszczaścia waszego pragnie i waszą ukochaną prześladuje... O, wielmi zły ten człowiek, wielmi złe jego oczy... Wystrzegajcie się panoczku tego człowieka.

— Pleciesz duby smolne, moja mała — warknął gniewnie porucznik. — Masz tu swoje dwa złote i bywaj zdrowa.

Stadnicki rzucił Cygance monetę na karty i odwróciwszy się, poszedł z powrotem do poczekalni. Lecz jednak czuł, że ta wróżba zdenerwowała go mocno. Wyrzucał sobie nawet teraz, że dał się nakłonić do popełnienia głupstwa i powróżenia sobie. Mimo to atoli nie mógł nie przyznać w niektórych wypadkach, że Cyganka mówiła prawdę, w wielu wypadkach prawdę. A będąc, jak każdy prawie lotnik, zababonnym, zaczynał wierzyć, iż — kto wie, czy nie wszystko jest prawdą. I coraz mniej żałował głupstwa, jakie popełnił.

— Ot, bywają rozmaite omeny w życiu — myślał — czasem drobna rzecz może odegrać wielką rolę w życiu człowieka. Teraz wiem, że istotnie jakiś zły człowiek, który jest wrogiem mojego szczęścia, wrogiem Lili i wrogiem moim. Nie wielka to wprawdzie pociecha, gdy się nie wie, kto jest tym człowiekiem, a ma się jedynie najbardziej ogólne o nim wyobrażenie.

Stadnicki uśmiechnął się do swoich myśli i zapaliwszy papierosa, otoczył się aromatycznymi smugami niebieskiego dymu, nie przestając jednak myśleć o przepowiedniach Cyganki.

— Zły człowiek — myślał — czyż istnieje na tym globie zgrzytania zębami choćby tylko jeden taki osobnik, któryby nie miał przynajmniej jednego wroga? — Niewątpliwie nie ma. Każdy ma swojego zająca, przed którym ucieka i swoją żabę, która go się boi. Już tak jest, niestety, cały świat urządzony.

Lecz gdy przyszedł mu na myśl człowiek spotkany na schodach swego domu, ów człowiek o tak ciekawych zielonych oczach, który następnie stał się, albo przynajmniej miał się stać przyczyną karambolu samochodowego, który rzucił w niego żelaznym łomem i czy nie on to jest tym „złym człowiekiem o złych oczach".

Stadnicki z natury bardzo towarzyski i uprzejmy, prawie nie miał osobistych wrogów, gdy się przeto zastanawiał teraz nad problemem, jaka mogłaby być przyczyna nienawiści jakiegoś „złego człowieka" do niego, utknął na tym punkcie i ani rusz nie mógł z miejsca ruszyć. Lecz w tym czasie doszedł już był do przekonania, że jednak coś w tym wszystkim jest nie w porządku, że ktoś tu działa podstępnie przeciwko niemu i przeciwko Lili. Ale kto? I dlaczego? Jaki jest powód wyzwania go z Warszawy depeszą do Łodzi, gdzie również musiały dziać się jakieś niezwykłe tajemniczości, bo głos Lili w telefonie zdradzał ogromny jakiś niepokój i jakby lęk.

Aż go głowa rozbolała od tego gubienia się w domysłach. Powstał więc i zaczął przechadzać się miarowym krokiem po pokoju, pragnąc uspokoić się, opanować zdenerwowanie. Nie wiele to jednak pomagało i dopiero nadejście pociągu, na który wyczekał się blisko cztery godziny, zmieniło nieco tok jego myśli.

Zerwał się wiatr podobny do lekkiego huraganu, i huczał dokoła pociągu, tamując jego pęd. Stadnicki zasunął się głęboko na siedzeniu i przymknąwszy oczy, próbował zasnąć. Naprzeciwko jakaś młoda para, nakryta płaszczem wiszącym nad ich głowami, tuliła się do siebie i obejmowała. Odgłosy zduszonych oddechów i pocałunków dochodziły do uszu porucznika bardzo wyraźnie.

— Ci są szczęśliwi — przemknęło mu przez myśl. — Nie potrzebują się gubić w domysłach, od których łeb może pęknąć.

Pociąg mknął naprzód, idąc z wichrem w zawody. Za oknami snuły się snopami złote łzy z komina parowozu, uderzając o szyby i jak gdyby domagając się wpuszczenia ich do ciepłego wnętrza, bo na dworze wicher i chłód.

— Łódź!... Stacja Łódź fabryczna!

Stadnicki podniósł się i spojrzał w okno. Istotnie, byli już w Łodzi. Wysiadł pospiesznie, dopadł pierwszej po drodze dorożki i kazał się zawieźć do hotelu.

Teraz, gdy znajdował się już w bardzo bliskiej odległości od Lili, gorączka na nowo opanowała go i podniecenie w nim wzrosło. Aby pozbyć się tych przykrych uczuć, kazał sobie zrobić wannę i natychmiast prawie udał się na spoczynek.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 31 października 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w W-wie 12.03 Poranek symfoniczny (ze Lwowa) 13.10 „Bajecznie kolorowe" — fragment z noweli Sewera 13.20 Muzyka obiadowa, transmisja ze studia na Wystawie Radiowei w Bydgoszczy 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Artyści jugosłowiańscy: Zofia Dawidowa-Slatina i Ilija Slatin 16.45 „Anielcia i życie" — powieść mówiona 17.00 „Na swojską nutę" — koncert polskiej muzyki lekkiej i tanecznej w wyk. Małej Orkiestry P.R. 18.00 „Dzień Oszczędności": przemówienie Prezesa Centralnego Komitetu Oszczędnościowego P.R. dr. H. Grubera oraz hymn oszczędnościowy 18.25 Słuchowisko pt. „Samarytanin spod Solferino" 19.35 „Słynni wirtuozi" — III Audycja 21.15 „Komers na poddaszu" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Sonaty na altówkę i fortepian w wyk. M. Szaleskiego i L. Lefelda. 22.35 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 1 listopada 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Łodzi 10.30 Wiedeń w pieśni i muzyce fortepianowej (płyty) 12.03 Poranek muzyczny z Wilna 13.10 „Jermoła" opowiadanie J. I. Kraszewskiego 13.30 Muzyka obiadowa 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 „Co ludzkość zawdzięcza Robertowi Kochowi" — odczyt 17.15 1000 taktów muzyki w wyk. zesp. Stefana Rachonia 18.10 Organy Wurlitzera i piosenki chóralne (płyty) 19.00 Audycja żołnierska 19.30 „Dyskutujmy": „Co myślimy o książce Poli Gojawiczyńskiej „Rajska jabłoń" 20.05 Koncert solistów 21.00 Kult zmarłych w 5-ciu częściach świata — audycja słowno-muzyczna 22.05 Koncert symfoniczny w wyk. Ork. P.R.

Wtorek, dnia 2 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Koncert kameralny 17.00 „Pełnia nad Rzymem" — reportaż 17.15 „Na Dzień Zaduszny" — koncert 17.50 „Niedźwiedź" — pogadanka 18.25 Albert W. Ketelbey: Dzwony z oddali (z płyt) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Treny" — Jana Kochanowskiego 19.40 Audycja konkursowa 20.05 Mała Orkiestra P.R. 21.00 Recital skrzypcowy Eugenii Umińskiej 21.30 Recital organowy Fritza Lubricha (z Katowic) 22.00 Koncert muzyki religijnej.

Środa, dnia 3 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Muzyka operowa z płyt 15.45 „Listopad" — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Orkiestra rozrywkowa (z Łodzi) 17.00 „Polskie formacje wojskowe na wschodzie w r. 1917" — odczyt 17.15 Arie i pieśni — z Poznania 17.50 „Rzeczy znalezione" — pogadanka 18.10 Muzyka lekka z płyt 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Kaprys jedwabnego przyjaciela" — nowela lotnicza 19.20 Kołysanki regionalne w wyk. na cytrze 19.35 Śladami myśli prof. Twardowskiego — odczyt 20.00 Popularni pieśniarze w produkcjach solowych i zespołowych (z płyt) 21.00 Koncert chopinowski 21.40 „Piękno mowy polskiej" — kwadrans poezji 22.00 Ludwik van Beethoven: 9 Symfonia d-moll — Transmisja z Queen's Hall w Londynie.

Czwartek, dnia 4 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Poranek dla szkół powszechnych: Tańce i pieśni ziemi krakowskiej 11.15 Nicolo Paganini: Koncert skrzypcowy 15.45 Wędrówki muzyczne — audycja dla młodzieży 16.15 Muzyka salonowa z Krakowa 17.00 O książce Gębarowicza i Mańkowskiego „Arrasy Zygmunta Augusta" — odczyt 17.15 Serenady i tańce w wyk. Marii Sokół i A. Rudnickiego 19.25 Jan Strauss, ukł. Egg'a: Opowieści wschodu walc (płyty) 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Słuchowisko pt. „Wschodnia baśń o miłości" 19.35 Recital śpiewaczy Pawła Prokopieni 20.00 Muzyka lekka w wyk. Małej Orkiestry P.R. i solistki 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry 21.45 „Nowy Akademik — Kornel Makuszyński" — szkic liter. 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 5 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Józef Haydn: Kwartet smyczkowy nr. 68 op. 3 nr. 5 15.45 „Bajki indjańskie" — audycja muz. — słowna dla dzieci 16.20 Koncert ork. mandolinistów im. Moniuszki (z Katowic) 17.00 „Czy praca pani domu może być zawodem" — pogadanka 17.15 Arie i pieśni w wyk. Olgi Didur-Wiktorowej 18.10 Marsze charakterystyczne (z płyt) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Komedia „Syn Marnotrawny" w Teatrze Wyobraźni 19.40 „Polska twórczość chóralna" — I audycja 20.10 Koncert Symfoniczny z sali Filharmonii Warsz.

Sobota, dnia 6 listopada 1937 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Włoskie piosenki z płyt 15.45 Słuchowisko dla dzieci „Awantura w trzeciej klasie" 16.15 Koncert orkiestry dętej 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Polska Kapela Ludowa pod dyr. Feliksa Dzierżanowskiego 21.00 Walce w wyk. Janusza Popławskiego i Jana Bereżyńskiego 21.45 „Państwo Taratamscy jadą na Wystawę Paryską" — skecz 22.00 Koncert popularny w wyk. Orkiestry Symfonicznej P.R.

HUMOR

CAŁKIEM LOGICZNE

— Co ty robisz nieznośny chłopaku? Dlaczego zmuszasz siostrzyczkę do połykania bibuły?

— A bo ona napiła się przed chwilą atramentu.

W EPOCE RAT

— Co? Znowu w tym miesiącu posyłasz temu pośrednikowi stręczenia małżeństw 25 zł. Powiedz no mi Karolu, czyś ty przypadkiem nie kupił mnie na raty?

DOWÓD

— Czy to prawda, że twoja żona uciekła z Adolfem?

— Prawda.

— Ale jakże to może być, przecież to był twój serdeczny przyjaciel?

— Właśnie dał tego dowód.

MUZYKA

— Czy pan lubi utwory Mozarta?

— Owszem... bardzo... ale niech pani nie zwraca na to uwagi i gra dalej.

WYJAŚNIŁ

Do prowincjonalnego hoteliku przyjeżdża podróżny. Ogląda pokój, który mu przypadł do gustu i mówi:

— Ale tyle pluskiew, to rzeczywiście nigdy w życiu nie widziałem!

Na to numerowy:

— Bo to, proszę jaśnie pana, właściwie jest pokój dwuosobowy.

HISTORIA

Nauczyciel: — Co możesz powiedzieć o Kleopatrze?

Uczeń: — Nie panie profesorze, tego filmu w kinie jeszcze nie wyświetlano.

ZANIK PAMIĘCI

Doktór (notując) — Silne migreny, ataki żółci, bóle w szyi... hm... Ile pani ma lat?

Stara panna. — Dwadzieścia cztery, doktorze.

Doktór. — O... (pisząc w dalszym ciągu) zanik pamięci.

ODPOWIEDNIA OKOLICA

Policjant: — Obserwuję pana już od dłuższego czasu, dlaczego pan chodzi ciągle w pobliżu prochowni?

— Chcę się odzwyczaić od palenia panie posterunkowy.

SZCZĘŚCIE

— Dziesięć lat temu przyjechałem do tego miasta z jednym złotym w kieszeni. Ten złoty stał się moim szczęściem!

— Ty zawsze okazywałeś zdolności do zbijania pieniędzy. Ale jak ty to zrobiłeś?

— Poprostu wysłałem za tego złotego telegram do domu z prośbą o pieniądze...

ZGADZA SIĘ

Żona: — Te ciastka, które wczoraj jadłeś, upiekłam według niezwykle dziwnego przepisu...

Mąż: — Dlatego też miałem po nich niezwykle dziwne boleści...

NA DWORCU

Pani Kunegunda kupuje na dworcu przy kasie bilet dla siebie, synka i dla psa.

— Ile płacę? — pyta pani Kunegunda.

— Dla pani bilet kosztuje 10 zł — wyjaśnia kasjer — dla synka 50 proc. taniej, a dla psa zniżka wynosi 75 proc.

— Szkoda, że wujcio z nami nie jedzie — wtrąca malec — pojechałby darmo.

— Dlaczego? — dziwi się pani Kunegunda.

— Bo przecież mama zawsze mówi, że wujcio jest gorszy niż pies...

ZŁOŚLIWOŚĆ

W procesie rozwodowym żona zarzuca mężowi, iż uderzył ją w twarz. Pozwany zaprzecza:

— Nigdy nie uderzyłem żony, gdyż jestem za dobrze na to wychowany. Zresztą, bałbym się uderzyć ją w twarz, bo mógłbym jej uszkodzić sztuczną szczękę...

DZIECI

Pociąg pędzi przez pola i lasy. Wychowawczyni 6-letniego chłopczyka spogląda w okno i zachwyca się pejzażem.

— Jak pięknie! Cóż za rozkosz wyrwać się z miasta i odetchnąć na łonie przyrody. Wokoło zieleń, przyroda, beztroska, rozkoszne podmuchy wiatru, pieszczota słońca...

Pawełek ze znudzoną miną wzrusza ramionami:

— Jaka ona świeża duchowo...

PRACOWITY

— Co dziś robi nasz nowy urzędnik?

— Zaadresował kilka listów, a potem usiadł i łapał muchy.

— Więcej nic.

— Jeszcze dwie osy.

CZŁOWIEK I AUTO

Podczas zawodów automobilowych dwaj samochodziarze rozmawiają ze sobą:

— Widzisz ten wóz? Wspaniała maszyna, konsumuje zaledwie półtora litra w ciągu godz.

— To rzeczywiście niewiele, ja w tym samym czasie wypijam cztery litry.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie